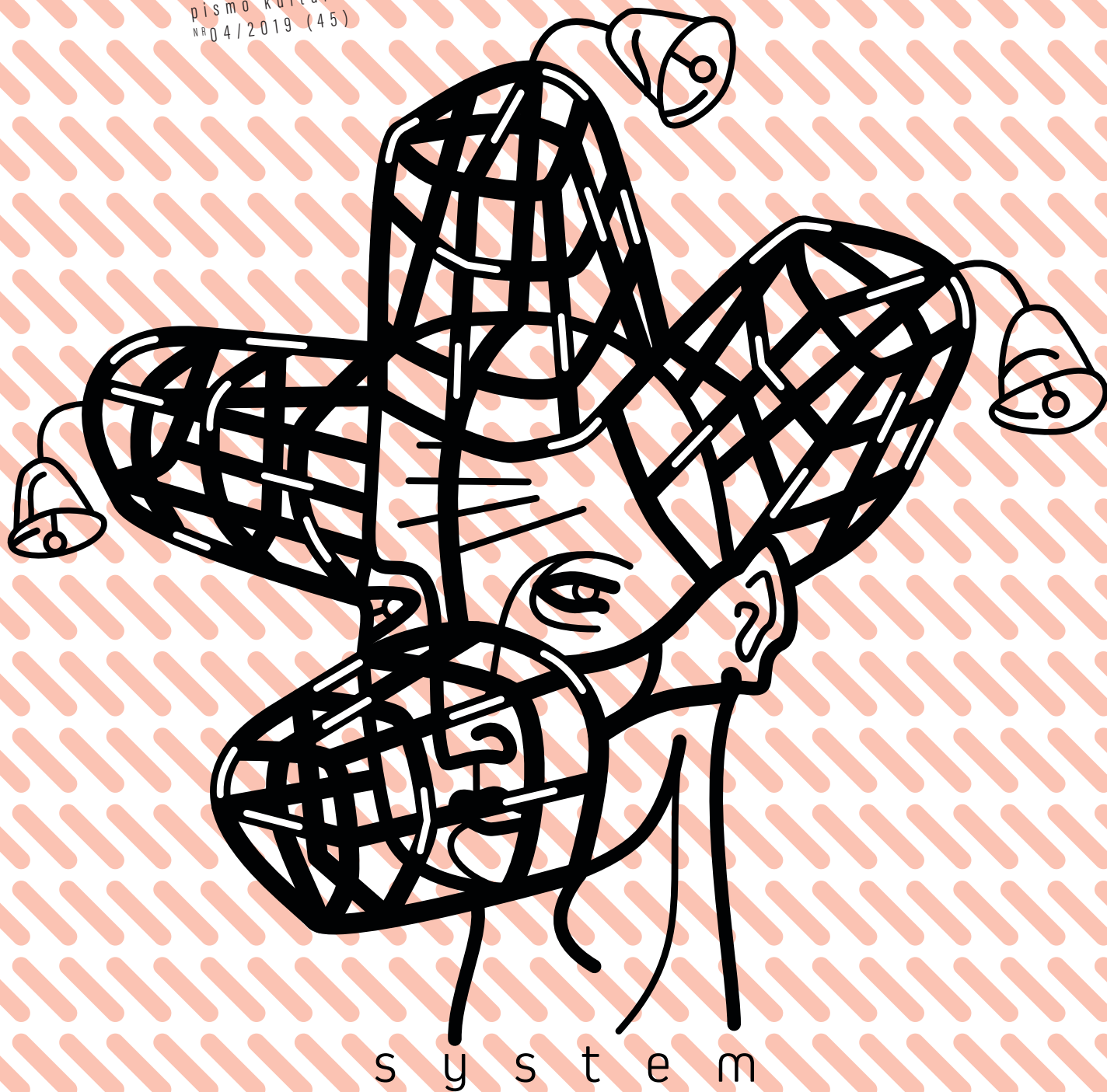


VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 4/2019 (45)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W OLSZTYNIE
www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

System, czyli o poszukiwaniu czułego i czwartoosobowego narratora

Olga Tokarczuk w swoim noblowskim przemówieniu wspomniała o, nieistniejącym jeszcze, czwartoosobowym narratorze, postulując zmiany w języku, by lepiej opisać złożoną rzeczywistość. Język, w tym język nauki, ciągle się rozwija wraz z poszerzającym się ogólnoludzkim horyzontem wiedzy. To, co dziś jest przeczuwane, ale jeszcze niewysłowione, jutro może być codziennością opisującą sprzeczność.

System jest czymś, co nie do końca jest widoczne, przez co doszukujemy się paradoksów i sprzeczności. Czy biologia przeczy fizyce? Tak czasem mogłoby się wydawać. Ale przez to bliższa jest człowiekowi, sztuce i literaturze. Jeśli się jednak włączyć do funkcjonowania systemów biologicznych, okaże się, że fizyka może dopasować się do biologii, a dla opisu zjawiska życia, pozornie chaotycznego, można znaleźć adekwatny język matematyki. Tak więc życie biologiczne (a co za tym idzie biologia jako nauka) nie stoi w sprzeczności ani z fizyką, ani z matematyką. Ani nawet z literaturą. Złożoność jest zawsze trudna do zrozumienia, niezależnie czy na gruncie biologii, fizyki, matematyki czy literatury.

Holistyczna definicja podkreśla, że system to więcej niż suma jego części. Stwierdzenie tylko pozornie sprzeczne z arytmetyką. Bo suma to suma i nie przewidyje się jakichś ekstra dodatków. Dwa dodać dwa równa się cztery, a nie cztery i coś jeszcze (czyli 5 lub 4 z ułamkiem). Niemniej od wielu wieków poszukiwaliśmy owego niewidocznego nadkładu „arytmetycznego”. Kiedy obserwujemy dużą ławicę ryb czy lecące stado ptaków, to widzimy nie tylko pojedyncze osobniki, ale i spójnie zachowującą się całość. Samodzielnie, a jednak razem i wspólnie. Lepiej to widać z oddali. Przez lata biolodzy i filozofowie poszukiwali tajemniczej siły *vis vitalis*, która była, jak wspominał wyżej, „czymś więcej” i nie wynikała z sumy elementów. Życie jawiło się nam jako coś niezwykłego i nieredukowalnego. Dzieleno także na materię nieożywioną (pozbawioną tej tajemniczej *vis vitalis*) i materię żywą. Wiedza o świecie od tego czasu znacząco się zmieniała, ale my ciągle w języku mamy „materię nieożywioną” – choć już inaczej ją rozumiemy.

Skoro nie materia nas różni, to może budowa chemiczna, system powiązania atomów w związkach chemicznych? Dawniej uważano także, że związki organiczne są wyjątkowo specyficzne i powstają (występują) tylko w organizmach żywych. Ten pogląd runął, gdy udało się po raz pierwszy zsyntetyzować związki organiczne z tych „nieorganicznych”. Granica została zatarta, niemniej w języku pozostała chemia organiczna.

Przez długie dziesięciolecia uważano, że życie przeczy drugiej zasadzie termodynamiki, że jest w konflikcie z entropią i nie da się pogodzić z prawami fizyki. Teraz tak nie uważamy. Po prostu filozofowie niewłaściwie uogólniali drugą zasadę

termodynamiki. A sami fizycy zajęli się termodynamiką nierównowagową i procesami chaotycznymi. Na gruncie biologii powstała ogólna teoria systemów, próbująca opisać i zrozumieć nie tylko biologiczne systemy, ale także te „nieorganiczne” i społeczne. Narodziła się cybernetyka, a w układach elektronicznych coraz bardziej zbliżamy się do biologicznej złożoności. Coraz częściej mówimy także o organizacji jako ważnej, „niewidocznej” cesze systemów.

System to organizacja oraz relacje między elementami (nie jest zwykłą sumą, lecz także sposobem ułożenia elementów). Naukowcy nieustannie szukają języka, by lepiej opisać tak zarysowane zjawiska. I krok po kroku im się udaje. Relacje i przepływ informacji ważne są zarówno dla systemów biologicznych, jak i społecznych. Także w literaturze.

Marzy mi się język, który potrafi wyrazić najbardziej niejasną intuicję (...). Marzy mi się także nowy rodzaj narratora – „czwartoosobowego”, który oczywiście nie sprowadza się tylko do jakiegoś konstruktów gramatycznego, ale potrafi zawrzeć w sobie zarówno perspektywę każdej z postaci, jak i umiejętność wykraczania poza horyzont każdej z nich, który widzi więcej i szerzej, który jest w stanie zignorować czas (Olga Tokarczuk).

Pisarze poszukują coraz lepszego języka, a naukowcy wzorów, algorytmów i języka nauki, by lepiej opisać to, co się przeczuwa i gdzieś mgliście dostrzega. Zarówno literatura, jak i nauka są wspólnotowe, zachodzą w relacjach międzyludzkich i we współpracy. W systemie. Wyzwaniem jest, by znaleźć nowy język do opisu nowej, tworzącej się rzeczywistości. Złożonego życia biologicznego i społecznego. Matematyka znalazła, fizyka znalazła, to może i niebawem literatura znajdzie.

Słowa Olgi Tokarczuk są dla mnie dużą inspiracją: *Dlatego wierzę, że muszę opowiadać tak, jakby świat był żywą, nieustannie stawającą się na naszych oczach jednością, a my jego – jednocześnie małą i potężną – częścią.*



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: System, czyli o poszukiwaniu czulego i czwartoosobowego narratora

04 WYWIAD

Z JACKIEM KRAWCZYKIEM rozmawia EWA ZDROJKOWSKA:
Książka poetycka jest niespodzianką

06 POEZJA

JACEK KRAWCZYK: Wiersze

08 PROZA

WALDEMAR KONTEWICZ: Przeczywistość

09 PROZA

ANNA RAU: Mural przy ul. Kościuszki

10 POEZJA

ARNO HOLZ: Raj dzieciństwa

12 PROZA

ILONA PROKOPOWICZ: Kim jest śmierć?

14 PROZA

JANUSZ RYSZKOWSKI: Bo nie zna życia...; Towarzysz niedoli

16 GALERIA

PIOTR NOWAK: Esencja zgrzytu

18 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

PIOTR NOWAK: Esencja zgrzytu

18 SZTUKA

TOMASZ BAŁA: Współczesne skarby ziemi Rafaela

20 HISTORIA PEWNEGO DOMU

ANNA M. MAJEWSKA: Stan wojenny dla drzew; Jaroty – osiedle na skraju Pieczewa

22 INICJATYWA

ANNA MICHALKIEWICZ: System biblioteczny porządkujący świat informacji...

23 FELIETON

MARCEL KRUEGER: Wyspa i miasto

24 KULTURA

ANDRZEJ WOJNACH: SYSTEM... filmowy?

26 FILOZOFIA

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI: System władzy

27 HISTORIA

BERNADETTA DARSKA: Dziesięć odston pamięci. Mur Berliński 1961-1989

28 OPINIE

STUDENCI DZIENNIKARSTWA: System

30 FELIETON

ANNA RAU: Świat bez I

31 RECENZJA

KATARZYNA GUZEWICZ: System krzywdy

Nie ma ucieczki od systemu, a system nie opuści nikogo.

System kocha usystematyzowanych, a nienawidzi próżni, w której tkwią jednostki bez systemu.

System-„VariArt” przedstawia zespoły elementów:

- wywiad – Jacek Krawczyk versus Ewa Zdrojowska;
- proza – Waldemar Kontewicz, Ilona Prokopowicz, Anna Rau, Janusz Ryszkowski;
- poezja – Arno Holz, Jacek Krawczyk;
- felieton – Marcel Krueger, Anna Rau;
- historia – Bernadetta Darska;
- inicjatywa – Anna Michalkiewicz.

Niech żyje system. Niech żyje. Niech żyje. Niech żyje. Niech żyje. Niech...

Tryb Redakcyjny zaleca systematyczne czytanie

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 04/2019 (45)

Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Karolina Lewandowska, Urszula Maciąg,
Anna Rau, Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatravski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okladka przód: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska,
okładka tył: Katarzyna Łyszkowska, ilustracje: Mariola Żylińska-Jestadt
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn
Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z JACKIEM KRAWCZYKIEM rozmawia EWA ZDROJKOWSKA

Książka poetycka jest niespodzianką

Dr Jacek Krawczyk z Instytutu Polonistyki i Logopedii UWM w Olsztynie jest autorem publikacji naukowych poświęconych m.in. twórczości poetyckiej Jana Kasprowicza, Zbigniewa Herberta, Stanisława Czerniaka, Jana Śpiewaka, a ostatnio zadebiutował jako poeta.

Publikacja książki poetyckiej jest niespodzianką i jednocześnie źródłem konfuzji, bo oto naukowiec, pracownik uniwersytetu sięga po pióro poetyckie i komunikuje się tym piórem z czytelnikami. Kiedy zapowiedzi tego debiutu były nagłaśniane w mediach, docierały do mnie głosy znajomych, którzy z pewnym zdziwieniem odbierali informację, że publikuję wiersze.

A przecież wcześniej już publikowałeś wiersze w prasie literackiej. Tomik, który ukazał się w Bibliotece Autorów Warmii i Mazur, serii wydawanej przez Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Olsztynie, jest twoim debiutem książkowym.

Istotnie. Jednakże wcześniejsze próby poetyckie podejmowane były bez większego przekonania, że to ma sens. Jakby z wewnętrznym, nieśmiałym głosem sumienia, zagłuszonym młodzieńczym entuzjazmem i „wolą mocy” (sic!). Moja samoświadomość, również twórcza, była wówczas niewielka. Nie potrafiłem zmierzyć się ze światem kultury, tradycji i idei, które pozwalają zuniwersalizować swój poetycki głos i wyjść poza ciasne ramy samoodniesienia. Przychodzi jednak w życiu człowieka taka chwila, kiedy czujemy się gotowi podjąć odpowiedzialnie i dojrzałe wyzwanie, do którego wcześniej podchodziliśmy jak ignoranci. Dla mnie jest to moment rozpoznania, co człowiekowi w duszy gra. Wtedy pojawia się też większa motywacja, odwaga do tego, by spróbować. Ostatnio, zastanawiając się nad tym, czy wydanie tomu poetyckiego jest moim debiutem, nie byłem w stanie odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Na pewno debiutuję książką poetycką. Ale oczywiście zaczynałem znacznie wcześniej, publikując pojedyncze wiersze w prasie literackiej. Mimo że po raz pierwszy wydaję swoje utwory w formie książkowej, czuję się paradoksalnie bardziej dojrzały niż wtedy, kiedy zaczynałem przygodę z poezją.

Tomik nosi tytuł *Ezechiasz*. Ezechiasz to imię kilku postaci biblijnych, wśród których najważniejszy był król Judy.

Tak, tytuł mojego zbioru nawiązuje do króla Judy żyjącego w ósmym wieku przed Chrystusem. Informacje o tej postaci odnajdujemy w Starym Testamencie w drugiej Księdze Królewskiej. Ezechiasz sprawował rządy w trudnym momencie dla swojego kraju i dla niego samego. Był to czas konfliktu z Sennacherybem, królem

asyryjskim. Napaść Asyrii na państwo judzkie już stanowiła istotny problem polityczny. Jeśli do tego dodamy niepokój w społeczności judzkiej wywołany próbą reformy państwa i walki z pogaństwem, mocno zakorzenionym przeciw za sprawą poprzedników Ezechiasza, to mamy sytuację niezwykle trudną dla młodego władcy. Objął on rządy jako dwudziestopięcioletek pełen ambicji i determinacji w dążeniu do tego, co prawe. Jednakże panowanie okazało się znacznie trudniejsze, pełne napięć, obfitujące w liczne konflikty wewnętrzne, które skupiały się w Ezechiaszu jak w soczewce. Do mojej wyobraźni sytuacja egzystencjalna Ezechiasza przemawia głosem szczególnie mocnym i dramatycznym. Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z historią młodego króla Judy, pomyślałem, że jest to opowieść niezwykle fascynująca i niezwykle sugestywna i że może stanowić bardzo ważny i skuteczny klucz poznawczy w rozumieniu egzystencji człowieka jako takiego.

Co jest tak fascynujące?

Przede wszystkim ta postać nie jest papierowa. Kiedy czytamy historię Ezechiasza, dowiadujemy się, w jak trudnej sytuacji dyplomatycznej się znajdował. Pertraktacje z agresorem, Asyryjczykami, dramatycznie nasyczone były ludzkim strachem, poczuciem beznadziejności, kruchością autorytetu sprawowanej władzy, no i upokorzeniem oraz niepewnością. W tym konflikcie siłą istotną rolę odgrywała również opinia publiczna, z którą Ezechiasz też musiał się liczyć. Wydaje mi się, że ta postać również dla współczesnego czytelnika może być niezwykle inspirująca. Jej problemy to również problemy, z jakimi my się dziś spotykamy.

Ezechiasz jest zatem figurą retoryczną. Opowiadasz o sobie za pomocą pewnego wzorca egzystencji.

To prawda. Postać Ezechiasza stała się dla mnie inspiracją do napisania całego tomu. Jest więc swoistą figurą retoryczną, dzięki której ja siebie samego lepiej czytam i może przy pomocy tej figury retorycznej moi czytelnicy lepiej odczytają mnie samego. Chociaż tom nosi tytuł *Ezechiasz*, to wiersze w nim zamieszczone nie opowiadają o królu Judy, lecz o mnie w perspektywie poznawczej postaci ze Starego Testamentu. Wydaje mi się ona paradygmatyczna, dlatego ośmieliłem się wybrać ją na przewodnika, nawiązując w ten sposób do tradycji motywu przewodnika objaśniającego tajniki ukrytego świata ludzkich pragnień, zmagających i trudności.

Jak u Dantego w *Boskiej komedii*?

Tak. Ezechiasz to dla mnie zarówno Wergiliusz oprowadzający po piekle własnych zmagających i dramatów, jak i Beatrycze pokazująca niebo drobnych



życiowych cudów, jak uśmiech dziecka, czuty dotyk i słowo kocham.

Życiorys Ezechiasza pobudził do refleksji i nakreślenia obrazów, zdarzeń, sytuacji, przywołania wspólnie spędzonych chwil z bliskimi.

Wspólnie spędzonych chwil z osobami, które są dla mnie ważne. Mój ojciec, moja matka, którym ten tom dedykuję, ale także moja żona i nasze dzieci. W tym zbiorze są wiersze, które bezpośrednio odnoszą się do moich bliskich. Przywołuję różne sytuacje i szeroką gamę refleksji i stanów emocjonalnych, które towarzyszyły mi w określonych momentach. Jest więc trochę wzruszeń, rozczarowań, napięć, wspomnień i nadziei. Czytelnik z pewnością odnajdzie tam wątki samotności, może niezrozumienia, może zmęczenia, ale też cudu zmartwychwstania, który rozgrywa się już gdzie indziej, na gruncie opatrności. Wszystko to tworzy mozaikę egzystencji ludzkiej. Jesteśmy osadzeni w pewnej rzeczywistości społecznej, materialnej i całe to doświadczenie domaga się zrozumienia i nazwania. Dlatego tak bardzo zależało mi w tym tomie, który, jak powiedzieliśmy wcześniej, jest książką debiutancką, a więc szczególną formą autoprezentacji dla tych, którzy mnie nie znają, by zaznaczyć te doświadczenia i sposób ich przeżywania, ponieważ opisują moją teraźniejszość i określają moją tożsamość.

Wiersz *Anabasis* dedykujesz Mikołajkowi – synkowi, który właśnie przychodzi na świat.

Tytuł ten niesie ze sobą szereg konotacji. Po pierwsze odwołuje się do *Wyprawy Cyrusa* Ksenofonta. *Anabasis* to wędrówka ku górze. Mamy tu więc pewną metaforę aktywności człowieka zaproszonego do większej dojrzałości. Nawiązuję tu również do *Anabasis* Zbigniewa Herberta i postaci Tadeusza Różewicza oraz jego tomu *Wyjście*. Jest to więc utwór o poezji oraz sytuacji twórczej i egzystencjalnej poety, ale przede wszystkim o moim odnalezieniu się w nowej rzeczywistości, która zmienia się za sprawą narodzin syna.

O synu piszesz również w wierszu *Hesed*, który jednak dedykujesz swojemu tacie.

Finał tego utworu mówi o mojej relacji z synem. Relacja ta stanowi jednak fragment łańcucha pokoleń, w którym jestem jednocześnie ojcem, synem, wnukiem itd.

To utwór o męskiej więzi rozpisanej na szereg pokoleń. *Hesed* z hebrajskiego oznacza miłosierdzie, ale takie, w którym zawarte są zobowiązanie i lojalność. Człowiek żyjący wedle miłosierdzia rozumianego jako hebrajskie *hesed* odczuwa moc zobowiązania do kochania drugiego niekiedy wbrew trudnym doświadczeniom, jakie stają się udziałem mężczyzn, których łączy rodzinna więź krwi. W tym utworze mowa jest o moich protoplastach, o moim ojcu, dziadku i innych mężczyznach w rodzie. Łączy nas wspólna historia, łączą wspólne doświadczenia, wspólne wady i słabości stanowiące pewne kontinuum tożsamości. Ale są też przyjaźń i miłosierdzie, którym podlegam niczym wobec zobowiązania. To zobowiązanie jest dla mnie czasami sporym wyzwaniem, lecz jednocześnie źródłem nadziei. Kiedyś o to miłosierdzie poproszę swojego syna. Bez względu na to, co się dzieje w naszej relacji, mamy obowiązek być wobec siebie miłosierni.

W twojej poezji jest pewna doza smutku i osamotnienia, ale mam przeświadczenie, że czytelnikowi podczas lektury nie będzie ono towarzyszyło. Lektura twoich wierszy przyniesie poczucie bliskości, nawet pewnej wspólnoty...

Na tym mi właśnie zależało. Pamiętam takie doświadczenie związane z postacią mojego ojca. Jakież pół roku temu poprosił mnie o to, bym pomógł mu zarejestrować się w szpitalu w związku z planowaną operacją usunięcia żąłdzy. W momencie załatwiania tej sprawy spotkałem w szpitalu pewną kobietę. Emerytowaną polonistkę, osobę trochę zagubioną życiowo, być może trochę nieporadną, samotną, może z poczuciem życiowej klęski. Potrafiła jednak wejść ze mną w taki dialog, w którym ujawniły się i jej wrażliwość, i jej zainteresowanie literaturą. Pamiętam, że rozstawaliśmy się z obietnicą spotkania, być może na moim wieczorze autorskim. Obiecywałem wówczas tej osobie, że tomik, który ukaże się, planuję zatytułować *Ezechiasz*. Zbiór ten dedykuję również tej osobie, która utkwiła w mej pamięci jako osoba o czystym sercu. Pisząc ten tomik, pomyślałem, że to, co chcę zakomunikować, musi być autentyczne, a więc dotyczące trudnych spraw, takich jak samotność czy smutek. Mam wrażenie, że to, co przekazujemy z głębi serca, z miejsca, w którym jesteśmy autentyczni, musi dawać nadzieję. Tak się dzieje wówczas, gdy w serdecznej, przyjacielskiej rozmowie mówimy o trudnych sprawach. W ten sposób doznajemy ulgi, która staje się udziałem również tych, którzy za sprawą głosu poety mogą „wypowiedzieć” swoje własne przeżycia. Tylko wypowiedź bez grymasów, bez sztucznych konwencji, kiedy komunikuję coś z głębi własnego serca, tylko taka wypowiedź pozwala doświadczyć pośrednio zbawionego katharsis. To – moim zdaniem – jedna z podstawowych funkcji poezji, o której dzisiaj zapominamy. Poezja ma być czułym głosem, a nie szaradą intelektualną.

JACEK KRAWCZYK

Wiersze

HESED

mojemu tacie

moim ojcem jest Jan
ojcem Jana był Franciszek
ojcem Franciszka był Antoni
tylko tyle przekazał mi ojciec
choć męczył w rodzinie
od wątpliwego początku
do dzisiaj
było wielu
a każdy zrodził się
z tego, który się zrodził

imię nadała mi matka
i w ten sposób
wypuściła z rąk
koszyk ocalenia
który na rzece ciągłości pamięci
płynie dalej
w kierunku źródła
stryj Jacek zginął na wojnie
ja nadałem drugie imię
swojemu synowi
po moim ojcu
będę ja
a potem

gdy rodziłem się tata
sprowadzał z odległej fabryki
poważny sprzęt budowlany
domu jednak nie wybudował
musiałem to zrobić ja
(przy pomocy jego narzędzi)

gdy umierał dziadek
ojciec zaptakał

jak opuszczone dziecko
pamiętam tak się złożyło
zostałem sam
w tym dniu
z dziadkiem leżącym
w pokoju
w trumnie
mały chłopiec
i starzec
którego strzegłem
przed ostatecznym odejściem

jest w domu
zdjęcie z pierwszej komunii
mojego ojca
ma bardzo poważną minę
z napięciem
spogląda w obiektyw przyszłości
spod obniżonej nieufnie
krawędzi brwi
a nad nią równa linia
starannie przyciętych włosów
dzisiaj stoję
nad pochyloną głową ojca
i oszczędzam mu życie
przykładając do siwej skroni lat
maszynkę szybką i bezbolesną
jak pierwsze cięcie
narodzin
miłości

w końcu
przychodzi taki moment
kiedy każdy z nas
ukryty w ciasnym kącie obawy
i niepewności

zatrzymuje swą rękę
nad niedokończonym dziełem
ojców naszych winy
spoczywać będą
na synach i wnukach
do trzeciego
i czwartego pokolenia

moje imię również
zapisane jest
w księdze szemot
nierozwalną linią przewiny
która kiedyś
z pewnością zimnej asercji
uniesie się nade mną
ostrzem oskarżenia
ale dzisiaj jeszcze pracuję spokojnie
pod bezpiecznym schronieniem
namiotu zjednoczenia
mój synek przygląda się
z fascynacją i przerażeniem
w zwierciadle mojej pracy
jak w piwnicy przycinam
belkę na niewinną miarę
własnego oka
jest jeszcze między nami
chłopięce przymierze
wspólnej drogi i wspólnego celu
— lecz gdy poczujesz ciężar
topornej konstrukcji mojego życia
na swoich barkach
nie odrzucisz tej surowej belki
ale ocalisz
i staniesz się
ojcem

ANABASIS

Mikołajkowi

mur w Toledo ciągnie się
miesiącami
wokół oblężonej twierdzy
wyniesionej
z całą swoją własnością
ku ciemnej próżni oddzielenia
od ciebie

ma przybyć tu
do mojego pokoju
jeszcze bezimienny
mały świat
— nasz syn

przed pójściem do szpitala
powiedziałaś
że trzeba zrobić miejsce
i przenieść książki
na dół
w kartonach
jakbyśmy znowu byli
w drodze
z jednego miejsca
do drugiego
ani tu
ani tu

potykam się
o wypiętrzoną górę ambicji
przygotowaną
do zniesienia
wszystkie moje aszery
bezużytecznych kłamstw

roszczeń i grymasów
powiniennem zapalić
światło
lecz jeszcze czekam
naładowany
w ukryciu
aż noc sama minie i
wraz z nagim światem
zmierzę tę małą
bezczelną wyprawkę
nowego świata

po chwili wahania
znowu wynoszę
kolejny stupek iluzji
na wierzchu
mały zbiorek
z poetą na okładce
odwrócony tyłem
jakby odchodził
albo wracał po coś,
czego zapomniał

ze swojego biurka
mały poeta
który z powrotem chce się
przecisnąć
już bez krzyków
i tupania nogami
przez dziurkę od klucza
do ciemnego wnętrza adyton
swojego wrocławskiego domu

i nagle
dzwonek telefonu
budzi mnie z kokonu snu
słyszę w słuchawce głos
który mi mówi:
— jest!
chcę się
upewnić więc piszę
to słowo
na kartce
i wtedy przez ciasny otwór okna
na dno pustego pokoju
i mojego smutku pada
jasny promień światła

pętla ósmego dnia pokoleń
wreszcie domknęła się radością pisma
bo właśnie
w zeszycie szkolnym
napisało się
swoje pierwsze słowo
dla mamy i taty
po wielu miesiącach
ponurego milczenia
Słońce! Słońce



Rys. *System jedzący...*, Mariola Żylińska-Jestadt

WALDEMAR KONTEWICZ

Przeczywistość

TANIA NADZIEJA

To było poza wymiarem baśni Braci Grimm. Zaledwie trzynaście lat po II wojnie maszerowałem do pierwszej klasy. Sam! Pod pachą trzymałem *Przemyślenia* Selmy Langerlof z nadzieją, że będziemy je czytać na pierwszej lekcji.

Przez okno wpadały do klasy tumany kurzu. Bo akurat wiatr hulał w ruinach drugiego skrzydła szkoły. Trzech robotników stało na rusztowaniu i rozmawiało w nieznanym mi języku. Dziadek mówił, że to byli Prusacy, poczciwi ludzie. Ale należało się ich bać. Więc się ich obawiałem.

Moje zdziwienie uniosło się wyżej niż łabędź z powieści Langerlof, kiedy wychowałam, malutka pani d'Aystetten, poczęła czytać nasze nazwiska. Koleżanka z ławki nazywała się Tania Nadzieja. No i jak nadzieja mogła być tania, skoro tyle cegieł wysyłano do Warszawy, by zbudować jakiś duży pałac?! Nawet zbombardowany, ale nie zniszczony do końca, braniewski Ratusz rozbierano szybko, by się duchy kardynała Hozjusza i biskupa Kromera nie pobudziły. A XVII-wieczne wiemy wciąż jęczały w gruzach. Czy poradziłby sobie z nimi ksiądz ze świętego Antoniego? Tego nie wiedziałem. Wolałem nie pytać o to nikogo.

Chodziłem często na ulicę Kościuszki, gdzie spod niebieskiej tablicy wciąż wystawał napis Langengasse. Zapisalem nawet tę egzotyczną dla mnie nazwę ulicy na kartce papieru, co babka skwitowała jako barbarzyńskie włóczęgostwo. Skradałem się też na szkolne podwórko, aby pilnować cegieł. Całą nadzieję pokładałem w trzech Prusakach na rusztowaniu. Oni rozumieli moje problemy, bo niczego nie rozwalali, tylko budowali. Jak można było wysyłać cegły na jakiś pałac?

Później pani zbierała złotówki na warszawskie cegiełki. Przyniosłem ich trzy. Całe moje oszczędności. Tania miała 50 groszy. Dałem jej srebrną złotówkę i zobaczyłem, jak w jej oczach zabłyśła bajeczna Nadzieja!

ŁUDN KLAPER

Pół wieku po paradyzie z okazji 60. rocznicy intronizacji Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości Franciszka Józefa I na ulicy Berka Joselewicza mieszkał artysta kominów, minaretów, kościelnych wież i bóżnic. Według ulicznej legendy usmarowany Kominarz podczas wigilijnej wizyty wyważył drzwi w domu sąsiadki i uratował życie zaczadzonemu niemowlęciu.

Lata przedtem, zanim Żeglarką popłynął ściek zgniłych owoców, zanim z Dunajca nie poczęły wyskakiwać zardzewiałe konserwy, a z nieba nie spadł kwaśny deszcz fabryczny, Czarny Kominarz pracował jako łudn klaper. Chodził z kotatką, którą uderzał w okiennice lub w drzwi i nawoływał Żydów na modły do bóżnicy.

Wszyscy mieszkańcy sądeckiego cyrkułu wylegli na ulice, kiedy łudn klaper wybrał się na pierwszą wojnę, aby zatrzymać cesarsko-królewski czas w granicach imperium. Tak się jednak nie stało, czas się nie unicestwił, a cesarstwo szczytło. Na drugą wojnę był już za stary.

Pierwszy raz spotkałem Kominarza przy Ratuszu. Śmiesznym akcentem wodził po sądeckiej rzeczywistości: Młody człowieku, pamiętaj, krzywdę ludzką najlepiej słyhać w kominach. Trzeba wrzucić bombę na łańcuchu, zeszkrobać sadzę i szloch całego szeolu opowie światu nasze cierpienie. Trzeba tylko wrzucić bombę na łańcuchu. Powtarzał kilka razy. Potrząsany przez teraźniejszość dzwonami na farze, ostupiały płaczem maleńkich dzieci i milczeniem starców, słuchałem opowiadań miasteczkowego wagabundy:

o śmiertelnym powietrzu nazywanym sarin;
o przebijaniu bagnietami pod Gorlicami;
o okopowym błocie, wilgoci, pchłach, gryzących szczurach;
o korpusach ciał bez nóg i rąk, wnętrznościach uciskanych dłońmi;
o Rdziostowie, gdzie rozstrzelano tysiące sądeckich Żydów.

Czterdzieści lat minęło, a białe gałki oczne Artysty Kominów wciąż świecą jasno na dachach kamienic. W warsztatach, w sklepach, w szkołach słyhać dziś głosy, cały gwar. W kominach dogorywa historia.

ANNA RAU

Mural przy ul. Kościuszki

— Stary — powiedział poważnie Pikuś — nie możesz z nią dłużej chodzić. Pomyśl, co powie rodzina. Badik spuścił ciebie i zaczął pod stołem wiercić łapą dziurę w dywaniku.

— Ale my naprawdę do siebie pasujemy... — zaczął. Pikuś przewrócił oczami. — Nie wiem tylko, co na to mój pan.

— Pan! — parsknął Pikuś. — Twój pan ma rybki i patyczaka, a raz mówiłeś, że omal nie odkupił od sąsiada tej zębatej fretki. Może nawet ta twoja panna by mu się spodobała. Chociaż nie wiem, co na to te rybki. A wiesz, co powiedziała Mucha, kiedy się dowiedziała? Zaczęła kręcić się w kółko i wyc!

— Co na to ci, co na to tamci! Dlaczego nikt nie myśli, co ja na to! — Badik zaczął cicho powar-kiwać. — Kochamy się i tyle.

— Opamiętaj się, brachu, twoja dziewczyna jest kotem!!!

— I co, że kotem! Rasista jesteś, czy co?

Pikuś odsunął od siebie miskę z psimi chrupkami w kształcie malutkich kostek.

— Aleś ty mądry! Pamiętaj — tam skarb twój, gdzie buda twoja. Z nią budy nie założysz. Znaczą normalnej rodziny. Zawsze chciałeś mieć szczeniaki i w ogóle.

— Chciałem. Ale jak ją zobaczyłem: te oczy, te wąsy... Przynaj, że jest śliczna.

Pikuś rzucił beznadziejne spojrzenie na zawieszony na ścianie koło okna mały portrecik rezolutnej koteczki. Miała urocze łatki, skośne zielone oczy i śliczne trójkątne uszka.

— Cudna — powiedział. — Po prostu istne чудо. Ale gatunku nie przeskoczysz.

Badik zerwał się z krzesła i zaczął krążyć od lampy do okna — tam i z powrotem.

— Wiem!!! Wyjdziemy stąd! Za granicą nikt nam złego słowa nie szczeni.

— Chyba żartujesz, wyjedziecie? Ty, twoja kotka, twój pan, jego rybki i patyczak? I może jeszcze sąsiad z fretką? Przecież nic nie możesz zrobić.

Badik stanął pod portrecikiem.

— Wyjdziemy na wieś.

— Chciałeś powiedzieć — uciekniecie... A po drugie, co dalej: ty pilnujesz domów, a ona poluje w oborze na myszy? Ty masz tu pełną miskę, ona ma u swojej pani mleko...

— Koty nie piją mleka!

— Stary — Pikuś wstał i spojrzał mu w oczy. — Możesz uciekać od problemu, ale od systemu nie ma ucieczki.



ARNO HOLZ przełożył KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

w 90. rocznicę śmierci poety

Raj dzieciństwa

A potem procesja do chrztu, najradośniejszy orszak jaki znamy, matka w koronkowym tiulu z trzema falbanami,
w surducie odświętnym, z laseczką ze stoniowej kości, ojciec przejęty,
a z tyłu
w okazałej tłocznej defiladzie, chrzestni rodzice i goście w gromadzie,
państwo Liedtke, Tiedtke, Zeidtke i Zorn,
państwo Hebestreit i Haberkorn,
państwo Kluwe, Struwe, Druwe, Brodien,
państwo Scharfenberg i Lewertien,
państwo Kuhnke, Gruhnke, Ruhnkes, Riek,
państwo Tuleweit i Papendiek,
wkrótce
w odświętnym ornacie
z dostojenstwem i starannie, każdemu według zasług i stopni,
przy niemal
kompletnym patrycjacie,
przy tryumfalnych dźwiękach pobożnych, odważnych, zacnych dzwonów,
pod
zupełnie błękitno-złocistymi promieniami słońca,
masy i pospólstwo
podążą ich śladem,
noga za nogą, głowa przy głowie
zdobną jedliną ulicą Kościelną
od rynku
w stronę kościoła świętego Jerzego
co jest zabawne, co gra nam scherzem, „dziko o żebra stukającym sercem”,
motyl, cytrynek, z trzepotem leciał,
bijąc skrzydłami obok szybował, chwiejnie się kołysał, drząc falował
procesja
malowniczo ożywiona,
powoli skręcała za róg,
gdy nagle:

Matka na coś wpadła!

Wszyscy stać! Natychmiast!

Szttywno
stoją, spoglądają zdziwieni,
by nie rzec, że „zbici z pantałyku niestety”, zarówno mężczyźni, jak i kobiety:

państwo Liedtke, Tiedtke, Zeidtke i Zorn,
państwo Hebestreit i Haberkorn,
państwo Kluwe, Struwe, Druwe, Brodien,
państwo Scharfenberg i Lewertien,
państwo Kuhnke, Gruhnke, Ruhnkes, Riek,
państwo Tuleweit i Papendiek,
wkrótce
w odświętnym ornatcie
z dostojnością i starannie, każdemu według zasług i stopni,
przy niemal
kompletnym patrycjacie!

Matka,
mnie
w mojej paradnej świetności,
mnie,
aniołka z szeroko otwartymi oczami, przezabawnego, gaworzącego
mnie,
jej kurczaczka,
tej starej Pomorzance
wiernej duszy, czulej i dzielnej,
tej
wypróbowanej piastunce pisklaków
w
natychmiast ocalające, z gotowością otwar-
te, usłużnie rozłożone ramiona położyła,
i,
stuk, puk, obcasami,
„A teraz możecie przez chwilę iść wolniej, a ja w mgnieniu oka do was wrócę”,
przez tłum, przez ludzi
przez
to, przez co się głową przebijając
odważna, energiczna,
stanowcza, aktywna, skoncentrowana
z powrotem
do apteki,
gdzie
„jedno było”!

Co? Dlaczego? Gdzie?

Głuptasy!

Matczyna miłość! Matczyna mądrość! Matczyna troskliwość!

Chłopiec,

któremu podczas chrztu włożył
niepostrzeżenie,
sprytnie, ukradkiem
obsadkę,
ołówkę, albo gęsie pióro
w
kaftanik muslinowy,
w pieluszki albo w niemowlęcy becik,
zostanie
„kimś sławnym”!
.....

A potem
zaledwie pięć minut później
już
w kościele,
z błogosławieństwem proboszcza Dreschhoffa,
kiedy organy zagrały Panu, kiedy wszystko rozbrzmiewało i huczało,
kiedy się
mnie imionami koronowało
abym ja,
mały mądrała,
w twórczość mierzając, w zasięgu ręki miał i abym
tak
właśnie chwycił,
państwo Liedtke, Tiedtke, Zeidtke i Zorn,
państwo Hebestreit i Haberkorn,
państwo Kluwe, Struwe, Druwe, Brodien,
państwo Scharfenberg i Lewertien,
państwo Kuhnke, Gruhnke, Ruhnkes, Riek,
państwo Tuleweit i Papendiek,
wkrótce
w odświętnym ornatcie
z dostojnością i starannie, każdemu według zasług i stopni,
przy niemal
kompletnym patrycjacie
krzyknąłem nagle i
zapłakałem,
gdy o coś się mocno
zadrapałem,
ponieważ ukłuł mnie
wprawdzie nie Haber, jednak niezwykle ostry Faber
z napisem:

Numero

Jeden!

ILONA PROKOPOWICZ

Kim jest śmierć?

Wiele razy próbowałam wytłumaczyć sobie moje istnienie. Nie mniej razy próbowałam znaleźć usprawiedliwienie dla swoich działań. Ale prawda jest taka, że jestem potworem. Potworem urodzonym, by zabijać. Całe życie jestem w podróży, a do przodu pcha mnie żądza krwi. Żądza, która jest we mnie tak głęboko zakorzeniona jak oddech czy bicie serca. Czasami czuję się tak, jakby ktoś kierował moimi działaniami, wskazywał cele... Jednak dziś już nie wzbraniam się, wcale nie walczę z tym pragnieniem.

Na początku nie chciałam zabijać. Uciekałam od tego, w każdym razie próbowałam... Ale przed przeznaczeniem uciec najwyraźniej się nie da.

Pierwszą osobą, którą zabiłam, była moja matka...

Urodziłam się bez płaczu, z „czernią” na ramieniu. Znamieniem charakterystycznym dla choroby, której nazwa jest mi obca. Owe znamię pojawia się któregoś dnia, by w ciągu kilku miesięcy rozrosnąć się, tworząc coś na wzór tatuażu złożonego z wielu czarnych, przecinających się linii. Gdy dojdą one do serca, chory (w większości przypadków) umiera. Każdy milimetr naznaczonego ciała wywołuje ból nieporównywalny do tego, co człowiek mógłby zrobić drugiemu człowiekowi.

Ale czerń na moim ramieniu rosła znacznie wolniej...

Moja matka nie miała tyle szczęścia. Choroba zabiła ją kilka miesięcy po moim narodzeniu. Choroba, którą zeszła na nią jej własna córka...

Nazwano mnie przeklętym dzieckiem...

Dzieciństwo spędziłam w swoim rodzinnym domu, stojącym na obrzeżach niewielkiej wioski. Ojciec nie traktował mnie dobrze. Mimo że miał dobrze płatną pracę, a w domu pieniędzy nie brakowało, bywało, że nie dostawałam jedzenia nawet przez kilka dni. Wyglądało to tak, jakby moja własna rodzina zapomniała czasem o moim istnieniu. Albo próbowała zapomnieć. Mój brat był w tym mistrzem. Ojciec jednak ostatecznie zawsze przypominał sobie o mnie i przeproszał za wszystkie rodzicielskie potknięcia, zalewając się przy tym teatralnie łzami. Był słabym człowiekiem.

Już wkrótce nie miałam rodzeństwa. Pozbyłam się brata. Był to pierwszy raz, kiedy zabiłam kogoś, będąc w pełni tego świadomą.

Na początku z satysfakcją przyglądałam się jego cierpieniom, długo walczył z chorobą. Gdy w trzecim miesiącu czerń dotarła do jego serca, zaczął błagać o śmierć. Niewiele przeżywał ten etap, ale nie nazwałabym tego szczęściem. Gdy mój brat po raz pierwszy w życiu spojrzał mi w oczy, by z bólem wycedzić moje imię, jego cierpienie przestało sprawiać mi przyjemność. Impulsywnie wbiłam mu sztylet prosto

w serce. Tego dnia uciekałam z domu. Miałam 15 lat.

Gdy się otrząsnęłam z amoku, przeraziłam się tym, jak reagowałam na spojrzenie pogrążonego w agonii brata. A najbardziej tym, że nie czułam żadnych wyrzutów sumienia. To było jak narkotyk, który sprawiał, że nie byłam w stanie przytomnie myśleć. Czułam się, jakby czerń pochłonęła moje serce razem z duszą, ale znamię nadal było tylko kilkucentymetrowe.

Nie minęło kilka dni, gdy znowu poczułam żądzę krwi. Próbowałam się temu opierać, ale nie byłam w stanie. Lewe ramię bolało. To były tortury. Ledwo mogłam się poruszać. Nie jadłam, nie piłam, a życie nie chciało ze mnie ujsć. Pierś nadal wznosiła się i opadała, łapiąc kolejne oddechy. Nie tego chciałam. Nie wiem, ile czasu to trwało. Żądza wygrała.

Zabiłam go. Ojca. Zabiłam męża. Zabiłam wiernego przyjaciela. Zabiłam ich. Z uśmiechem na ustach. Za każdym razem zalewała mnie fala ulgi. Ulgi? A może ekstazy?

Jestem potworem.

Wróciłam do życia. Choć czy to było życie?

Już nie próbowałam się opierać. Dni mijały, a czerń rosła. Powoli.

Ból zwiększał się. Stopniowo.

A ja obojętniałam.

Za wolno.

W wieku 19 lat popełniłam największy błąd w swoim życiu. Zakochałam się...

Był moim celem. Jednym z wielu, których los umieścił na mej liście. Starszy. Wysoki. Dobrze zbudowany. Dojrzały go w tłumie ludzi. Prawie musnęłam go ręką, przeciskając się przez zbiorowisko. Prawie. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, utonęłam w jego oczach... Odezwał się do mnie. Uciekałam bez odpowiedzi. W duchu wyłam z bólu, ale nie zatrzymałam się.

Lewe ramię bolało. Kilkakrotnie jeszcze mijałam go w tłumie. Za każdym razem uciekałam.

Któregoś dnia, podczas kolejnego spotkania, spojrzał mi wnikliwie w oczy. Jakby chciał dojrzeć za nimi najgłębsze tajemnice mojej duszy. Zrobił krok w moją stronę. Odwróciłam się. Ból powalił mnie na kolana. On przyspieszył. Nie dałam rady wstać. Położył mi dłoń na ramieniu. Płakałam. Ręka przestała mnie boleć, ale serce roztrzaskało się na kawałki. Mówił do mnie, ale ja tylko patrzyłam w jego oczy. Na jego twarzy pojawił się grymas. Spojrzał na swoją dłoń. Zauważył czerń na ręce. Ostupiał. Zanim uniósł znowu wzrok, mnie już nie było.

Płakałam całą noc. Smutek przerodził się we wściekłość.

Krzyczałam.

„Nie chciałam tego!”

Płakałam.

„Nie chcę już zabijać...”

KRZYCZAŁAM.

„Chcę po prostu umrzeć!”

PŁAKAŁAM.

„Moja dusza umiera, choć ciało wciąż żyje...”

Wróciłam do niego. Był sam. Załamany. Spojrzał na mnie zamglonymi oczyma. Choć były przepełnione bólem, jaśniały. TONĘŁAM.

– Co mi zrobiłaś? – spytał łamiącym się głosem.

– Przepraszam...

Nie wiem, czy to był już szept, czy nadal tylko myśl.

NÓŻ.

KREW.

UCIECZKA.

Łez zabrakło.

Dalsza podróż wzywała. Przestałam liczyć czas. Nie wiem, czy mijały dni, czy lata. Nie zmieniałam się. Świat też nadal był niezmiennie szary. Tylko trupów przybywało.

A czerń rosla.

Ból się wzmagał.

Zobojętnieć się bardziej nie dało.

Zabijałam królów, wieśniaków, panów, kobiety, dzieci...

Serce nie czuło niczego.

Spacerowałam po pewnej wsi. Na niebie zbierały się chmury. Większość ludzi pracowała. Gdy zbliżałam się do mojego celu, minęłam mężczyznę, który miał około trzydziestu lat. Jego oczy... Jego oczy były oczami mojego brata. Mojego ojca. Były odbiciem moich własnych. Przyśpieszyłam. On tylko pozdrowił mnie skinieniem. Bez namysłu weszłam do chaty, która kiedyś była moim domem. Ile lat mogło minąć? W środku izby była tylko kobieta z dzieckiem na ręku. Nie wiem, co mówiła. Żądza była zbyt silna. Podeszłam do niej i dotknęłam niemowlę. Momentalnie zaczęło płakać. Jego matka spanikowała. Wrzasnęła. Odwróciłam się i wyszłam prosto na deszcz. Nie czułam zimna.

Kilka metrów dalej stał mężczyzna, którego już wcześniej spotkałam. Wracał do swojego domu. Wbrew wszystkiemu moje serce znów wróciło na swoje miejsce. Poczułam wstyd i głęboki smutek.

– Przepraszam... – To wszystko, co byłam w stanie powiedzieć ojcu dziecka, które dopiero co skazałam na śmierć. Banalne „przepraszam”.

„Co ze mnie za człowiek...?”

„Czy ja w ogóle jestem człowiekiem?”

„Nie.”

Za chatą znajdował się mały nagrobek z wrytym, acz zatartym przez czas, imieniem mojego ojca.

„Jestem potworem!”

„Bestią bez uczuć!”

„Nie czuję nic...”

Padłam na kolana i zaczęłam płakać.

„Ile czasu minęło...?”

Usłyszałam kroki, podniesiony głos mężczyzny...

Uciekałam.

Tamtego dnia czerń dosięgnęła mego serca.

Nawet to nie było w stanie mnie zabić.

Ból już nie pozwalał mi funkcjonować. Zabijanie nie pomagało.

Bezczynność wzmagała ból.

Postąpiłam nierozsądnie. Naznaczyłam człowieka w środku dnia i zrobiłam to przy licznych świadkach. Nie miałam siły, by uciekać. Nie tym razem. Złapali mnie. Zamknęli i poddali pod osąd. Karą miała być śmierć.

Powiesili mnie. Cztery razy.

Torturowali.

Ścięli mi głowę. Trzy razy.

Torturowali.

Sześć razy próbowali mnie utopić.

Torturowali.

Głodzili.

Torturowali.

Wyrzucili ze wsi i zapomnieli...

A ja trwałałam...

Powoli pochłaniana przez czerń.

„Czy ktokolwiek znajdzie moje ciało, gdy w końcu ujdzie z niego życie...?”

Bolało.

Królowie zmieniali się. Miasta wznosiły się i upadały.

Czerń rosla.

W końcu pochłonęła mnie całą.

Po raz pierwszy w życiu nie czułam żadnego bólu...

ILONA PROKOPOWICZ laureatka nagrody głównej w konkursie (kategoria: proza)
„O Różę Małego Księcia” w 2018 r.

JANUSZ RYSZKOWSKI

Bo nie zna życia, kto nie służył w marynarce

Wzywał mnie pilnie dowódca. Nie miałem pojęcia, co zbroilem. Fakt, poprzedniego wieczora mocno popiliśmy, ale to na okręcie normalka.

Stary długo milczał, nie patrzył mi w oczy.

— Pójdiesz, Piontek, na rozmowę, dziś o drugiej... — zaczął.

— Na jaką rozmowę, szefie?

— Wezwali cię. Musisz i tyle.

Podał mi nazwę ulicy i numer domu. Gdy odmeldowywałem się, on machnął tylko ręką, jakby odganiał się od upierdliwego komara.

Wróciłem do siebie. Karol, który dobrze znał miasto, zdziwił się, gdy wymieniał mu ulicę.

— To już ruska zona — zdziwił się. — Lepiej się tam nie szwendać.

Dalej nie pytał, za co byłem mu wdzięczny. Pilnował swojego nosa, taką wyznawał zasadę. Im mniej wiesz, tym jesteś zdrowszy.

Po jakiejś godzinie (trochę błędziłem) byłem na miejscu. Poniemiecka kamienica nie wyróżniła się specjalnie od innych, może tylko wyglądała na bardziej zaniedbaną. W oknach nie było firanek, wydawało mi się, że w kilku zauważyłem gazety.

Nacisnąłem dzwonek mieszkania na parterze. Nie musiałem długo czekać, gdy otworzył mi starszy mężczyzna w mundurze z dystynkcjami kapitana. Zameldowałem się przepiślowo. W przyciemnionym przedpokoju dostrzegłem bordowy chodnik na mocno lśniącem parkiecie. Zaprowadził mnie do obszernego pokoju. Wrażenie potęgował fakt, że jedyne wyposażenie były: duże, stare biurko i krzesło. Ujrzałem oficera w sowieckim mundurze. Rusek milcząco wskazał, żebym usiadł. Obok mnie rozsiadł się kapitan.

Na biurku stała duża lampka, a po chwili wylądowała wyciągnięta z szuflady papierowa teczka. Rusek otworzył ją ze znużeniem.

— Da..., taak... Roman Piontek, otiec Wilhelm — raczej stwierdził niż pytał.

Kiwnąłem głową.

Nie pamiętam dokładnie przebiegu rozmowy. Kilka nieistotnych (dla mnie) pytań, nawet może jakieś żarty.

W pewnej chwili kapitan zapytał.

— Kogo z rodziny macie za granicą?

— W enerefie mieszka starszy brat mojego ojca — powiedziałem.

Zapadła krótka cisza.

— Dlaczego wcześniej o tym nie powiedzieliście — to znowu kapitan. Rusek milczał, patrząc mi się uważnie.

— Bo nikt mnie o to nie pytał. Zresztą nie utrzymujemy z nim kontaktów.

— Niedobrze. — Nie rozumiałem, co kapitan miał na myśli.

Rusek zatopił wzrok w teczkę. Milczenie uwierało mnie jak kamyk w bucie.

— Nie mamy, Piontek, nic do ciebie — powiedział wreszcie kapitan. — Masz od dowódcy dobrą opinię. Wiesz, jaka jest sytuacja... Jedni kombinują, jak z magazynu ukraść buty albo mundur, może nawet broń. Albo zrobić jakieś jaja, a konsekwencje cholerne... my jesteśmy od tego, żeby takie rzeczy wybić z głowy. Jasne?

Przytaknąłem.

— Na waszym okręcie nikt nawet w żartach o czymś takim nie pisał? — Zaczął drążyć.

— Nie, nigdy...

— No pewnie, bo byśmy o tym dawno wiedzieli — roześmiał się głośno Rusek, mówiący, jak się okazało, świetnie po polsku. — Tak, jak o tym, że kilka dni temu odwiedziła was kuzynka... Znieruchomiałem. Skąd o tym wiedzieli? Dowódca wezwał mnie wtedy i wsunął do ręki kilka banknotów. — Dostaniesz telefon z portierni, że czeka na ciebie kuzynka. Pójdiesz po nią, a portierce dasz te pieniądze. Przyprowadzisz dziewczynę wprost do mnie. Masz pytania? Nie miałem, choć nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Jak człowiek mniej wie, to jest zdrowszy. Zwłaszcza w wojsku.

Na portierni czekała blond damula. — To ja, kuzynka — pisnęła na wszelki wypadek. Portierka uśmiechnęła się tylko, gdy zostawiłem jej pieniądze. Poszliśmy na okręt. — Co taki zmieszany jesteś, marynarzyku — odezwała się. Pogrzebała w torebce i dała mi puszkę duńskiego piwa. — Zaskoczony? — spytał znowu kapitan. — Jesteśmy oczami i uszami marynarki — dodał. — Naprawdę, nie mamy nic do ciebie. Ale jakbyś słyszał coś, co może narobić nam wszystkim kłopotu, rozumiesz — nam wszystkim, melduj...

Po raz drugi ruski oficer sięgnął do szuflady.

— Zanim wyjdiesz, musisz jeszcze podpisać ten papier...

— Muszę najpierw to przeczytać.

— A czytaj sobie, mamy czas, nawet do późnej nocy...

Oddałem podpisany dokument. Zobowiązywałem się do zachowania w tajemnicy treści naszej rozmowy.

Kiedy wróciłem na okręt, zameldowałem się u dowódcy. Milczał. Zanim poprosiłem o pozwolenie odejścia, zapytałem go, czy wiedział, dokąd mnie posyła.

— Tak, chłopcze...

Potem, jak zwykle zresztą, dał mi klucze od magazynu broni oraz parafatki do plombowania.

— I to koniec — trochę byłem rozczarowany tą opowieścią. — Nie miałem już kontaktów ze służbami, nie ciągli ciebie?

— Nie, miałem zupełny spokój.

Sięgnął po piwo. Żar lat się z nieba. Zmienił temat.

— Wiesz, ta Legia Warszawa... Żeby wczoraj nie wygrać. Wstyd i hańba.

Towarzysz niedoli

Wyrwany z drzemki, zauważył, że łożko obok przestało być już samotne. Siedział na nim zwalisty mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki.

– Witam towarzysza niedoli – powiedział na powitanie. – Z góry przepraszam za „towarzysza”...

Nowemu chyba się to spodobało, bo uśmiechnął się lekko i szybko wyciągnął silną, szorstką dłoń. Potem otarł pot z czoła. Spoglądał łapczywie na butelki wody mineralnej, które stały przy stoliku.

– Proszę, niech się pan częstuje...

Nowy wahał się tylko przez chwilę.

– Żona przyjdzie do mnie zaraz po pracy, to odkupi – ciężko sapnął, ale widać było, że chciał się też wygadać. – Zabrali mnie z przychodni. Doktórka tylko spojrzała na EKG i zaraz dawaj po karetkę – tłumaczył się. – Bo kto by się spodziewał, wyszedłem bez pieniędzy...

Tak oto butelka, jak to bywa, stała się wstępem do czegoś w rodzaju zażyłości. Tej szpitalnej, gdzie ludzie mają nadzieję, że już się więcej nie spotkają, chyba że w daleko innych okolicznościach przyrody.

Nowy okazał się dobrym gawędziarzem, chciał wyrzucić z siebie, co mu leżało na sercu, a co prawdopodobnie zaprowadziło go na oddział kardiologii inwazyjnej. Prawie całe życie pracował jako operator ciężkiego sprzętu na wielkich budowach, także za wschodnią granicą. Lekko nie było. Ale dało się przemyścić to i owo. Zostawił na budowach sporo zdrowia, ale przecież dobrobyt, nawet względny, ma swoją cenę. Pieniądze zainwestował w jednorodzinny dom na obrzeżach miasta, potem w sklepik, taki pawilonik na osiedlu.

– Młodsza córka w nim pracuje – opowiadał już po obchodzie lekarskim. – Nie ułożyła jej się życie. Jest w trakcie rozwodu, z czego się nawet po cichu cieszę. Od początku nie podobał mi się ten chłopak. Zwykły skin, sukinsyn. Ale łąził za nią wszędzie, aż wylaził... Uczyć się nie chciał, kombinował tylko. Chorował na cukrzycę, a przy tym miał ciąg do alkoholu. No, ja nie powiem, też nie odmawiałem w życiu wódki i pacierza, swoją przydziałową cysternę wypilem. Ale zawsze wiedziałem, co robię, kiedy mam skończyć, rodzina ani praca na tym nie cierpiały.

JANUSZ RYSZKOWSKI (1955), absolwent filologii polskiej WSP w Olsztynie, poeta, prozaik, krytyk literacki, regionalista. Z olsztyńskim środowiskiem literackim związany od czasu studiów. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (Biblioteka Toposu, 2014) i patchwork historyczno-literacki *Morawscy – pięć pokoleń i pół* (Bernardinum, Pelplin 2014).

No i ta moja córka się z nim zadawała. Uparła się dziewczyna i nie było siły. Tłumaczyłem, groziłem, wszystko na nic. Pewnie byłoby inaczej, ale ja przypilnować wszystkiego nie mogłem. Budowy, ciągle daleko od domu.

Chciała wziąć z nim ślub, zgodziliśmy się. Nie leczył się, pił, aż doprowadził do tego, że po kilku miesiącach po ślubie stracił prawie wzrok. Panie, tragedia... Młody chłopak przecież. Nie puszczał jej samej na krok, szedł z nią do roboty. W sklepie (Mówiłem, że dałem im pawilon?) stawał za ladą. Gdy mu się coś nie podobało, gdy wyczuwał, że któryś z klientów jest dla córki po prostu miły, od razu dostawał furii. Wymówki robił jej w domu, awantury... Zaczęło się psuć między nimi, nie wtrącałem się. Ale zaczął startować do niej z łapami. Potem przepraszał, błagał na kolanach. Było dobrze, aż do następnego razu. Gdy groziła, że odejdzie, wrzeszczał, że się na sznur rzuci. Kiedyś przegiął, wtedy wkroczyłem. O żesz, twoja! Teraz są w separacji...

Starsza córka... Dobrze zarabia, ale sobie chłopca nie potrafiła znaleźć na dłużej. Może dlatego, że natrzymała się na przeboje siostry, a może i dlatego, że po mnie ma trochę, no tego, za dużo – tu wskazał na swoją posturę.

Pracuje w zagranicznej firmie, cenią ją, jeździ po całym kraju. Nie miała czasu na jakieś głębsze znajomości. W ubiegłym roku wybrała się na ekskluzywny urlop do Kenii. Po trzech miesiącach znowu. Wróciła... z narzeczonym. Poznali się, gdy oprowadzał jej grupę po rezerwacie...

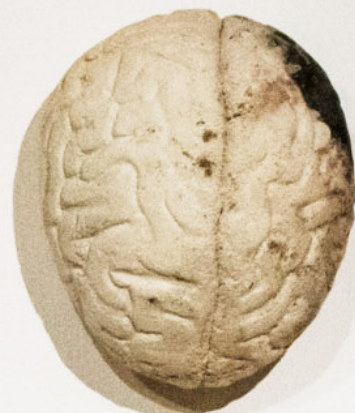
Przyjechał do Polski, wzięli ślub. Ale wrócił do siebie, bo tu nie było dla niego dobrego zajęcia. Alicja zastanawia się, czy nie pojechać za nim. Ale na razie ona tu, on tam. To ma być małżeństwo?

Tego lata był u nas. Córka zadzwoniła, że musi pilnie wyjechać na dwa dni służbowo, przerwać urlop. W tym czasie mieliśmy się zaopiekować tym Omarem. Niech przyjedzie, zdecydowaliśmy. Wyszedłem po niego na przystanek autobusu, bo to wiadomo, różne draństwo się kręci... No to panie, mam dwóch zięciów. Jeden skin, drugi czekoladowy. Takie to życie pokierane...

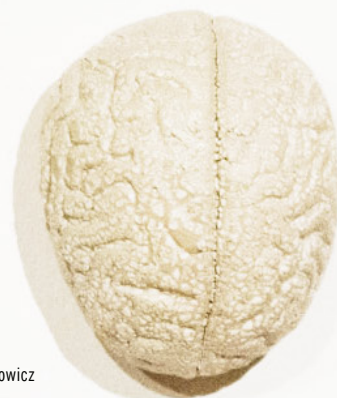


Rys. System jedzący... Mariola Żylińska-Jestadt





PIOTR NOWAK
ESENCA ZGRZYTU



W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA: ESENCA ZGRZYTU

Piotr Nowak poprzez swoją sztukę konstruuje świat pozornej jedności, by zwrócić uwagę odbiorcy na istnienie systemów warunkujących sposób postrzegania. Stopniowo, poznając kolejne prace, widz przekonuje się, że sprzeczność pojawia się również na poziomie samego tworzywa. Z pozoru delikatna i krucha ceramika staje się bohaterką wielkoformatowych rzeźb.

Artysta pracuje w ramach zdarzenia przestrzennego, obiektu, rzeźby czy prostego działania posiadającego interesujące walory wizualne. Istotne w jego twórczości jest, by nie zakładać określonego sposobu poruszania się w obszarze wybranej dziedziny artystycznej, jak i materii. Wręcz przeciwnie, artysta z zasady działa intermedialnie i nastawiony jest na proces poszukiwawczy, który w efekcie określa metodę realizacji jego pracy.

Za sprawą swojej twórczości pragnie przedstawić uczucie bycia w zawieszeniu, stanie pomiędzy pewnością a zwątpieniem, bezpieczeństwem a niepokojem. Autor stawia pytania o związki między zmysłową percepcją a zdolnością ludzkiej wyobraźni. W swoich pracach artysta konsekwentnie powraca do zagadnień takich jak grawitacja, równowaga, kontrast i objętość.

Większość dzieł prezentowanych na wystawie jest efektem poszukiwań w medium ceramicznym. Są to rezultaty procesów wymagających wyjątkowej precyzji i umiejętności. Dla autora istotne jest wyznaczanie nowych granic wytrzymałości materiału, często wykonuje prace przekraczające ludzką skalę. Ceramika nie jest jednak jedynym medium, z którym pracuje artysta. W jego twórczości pojawi się również tkanina, druk oraz wideo.

Esencja Zgrzytu w założeniu wypełnia przestrzeń w sposób nieinwazyjny, stwarzając warunki do refleksyjnego i swobodnego odczuwania, przeżywania o charakterze nie tylko estetycznym, ale i dydaktycznym.

PIOTR NOWAK urodził się w Olsztynie w 1984 r. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych we Wrocławiu na Wydziale Ceramiki i Szkła, dyplom obronił w 2009 r. W latach 2007–2008 przebywał na stypendium na Uniwersytecie w Porto (Portugalia). W 2009 r. rozpoczął studia na Wydziale Sztuk Wizualnych w Narodowej Akademii Sztuk Pięknych w Oslo (Norwegia), które ukończył w 2011 r. Zajmuje się rzeźbą, instalacją, video, projektowaniem. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych. Wielokrotnie stypendysta Arts Council Norway (2012, 2013, 2018). Jest aktywnym członkiem wielu organizacji zrzeszających artystów, m.in. reprezentuje Norwegię jako członek Międzynarodowej Akademii Ceramiki (IAC). Uczestniczył w licznych sympozjach w Europie i Azji. Jego prace znajdują się w muzeach i kolekcjach prywatnych na całym świecie. Ostatnie kilka lat poświęcił głównie na pracę ze sztuką w przestrzeni publicznej w Norwegii i w Polsce. Mieszka i pracuje w Oslo.

W polskiej świadomości zbiorowej sztuka włoska słusznie kojarzy się z geniuszami, takimi jak Leonardo da Vinci czy Michał Anioł i z mnóstwem wybitnych nazwisk z kolejnych epok aż po klasycyzm. Jednak co ze sztuką współczesną? Nawet ci, którzy się nią interesują, zazwyczaj mają problem z przypomnieniem sobie innych postaci niż Giorgio de Chirico czy Modigliani. Jest to widoczna oznaka tego, że świat włoskiej sztuki, za pośrednictwem którego kiedyś kształtowała się sztuka polska i któremu zawdzięcza ona także okresy swego największego rozkwitu, od końca XIX w. zszedł na drugi plan w porównaniu z dorobkiem artystycznym innych krajów.

A jednak dosyć powszechne przekonanie, utrwalone również w historiografii sztuki, jakoby wraz z początkiem XX w. środek ciężkości twórczości artystycznej przesunął się nieodwracalnie do Paryża, a później do Nowego Jorku, chociaż mocno uzasadnione, może nas doprowadzić do zupełnie niesprawiedliwych uogólnień. Co więcej, może sprawić, że naszej uwadze będą umykać zjawiska artystyczne o światowym znaczeniu i wartości.

Osvaldo Licini urodził się w Monte Vidon Corrado – małej wiosce w regionie Marche – w starożytnej okolicy, która między innymi szczyci się postacią Rafaela, urodzonego w Urbino, które w jego czasach było promieniującym ośrodkiem działalności artystycznej i umysłowej. Artystyczne tradycje podtrzymywane są do dziś przez bardzo liczne szkoły na tym terenie, w tym i przez Akademię Sztuk Pięknych w Urbino. Kiedy rodzice w poszukiwaniu pracy przeprowadzili się do Paryża, Licini, wychowywany przez dziadków, wzrastał w bezpośrednim kontakcie z przepięknym pejzażem tamtejszej wsi, który w tych okolicach przybiera, można powiedzieć, szczególnie majestatyczny w swej prostocie wygląd i który tak często będzie powracać na płótnach tego malarza. Wiąż z tym terenem, z jego wspaniałymi wzgórzami zieleniejącymi latem i często ośnieżonymi zimą była, jak wyjaśnia Daniela Simoni, dyrektorka Ośrodka Badań im. Osvaldo Liciniego, podstawa dla tego artysty, kształtując jego „kregosłup”, który łączył wszystkie fazy jego twórczości. To właśnie z tymi pejzażami, głęboko odcisniętymi w duszy, Licini jako nastoletni chłopak wyjechał do Bolonii, gdzie uczęszczał do Akademii Sztuk Pięknych i zaprzyjaźnił się z wieloma przyszłymi artystami, a wśród nich z Giorgio Morandim, który także u nas cieszy się sławą wybitnego grafika. Młode lata upłynęły mu na dalszych studiach w Akademii Sztuk Pięknych we Florencji, kontaktach z grupami futurystów i na polach bitewnych I wojny światowej, gdzie jako żołnierz poborowy został również ranny.

TOMASZ BAŁA

Współczesne skarby ziemi Rafaela

W 1917 r., aby leczyć odniesione rany, Licini udał się do Paryża, do rodziców, i nawiązał od razu kontakt z tamtejszym środowiskiem artystycznym składającym się z takich nazwisk jak Picasso, Cocteau czy Modigliani. Bardzo możliwe, że to właśnie za pośrednictwem Modiglianiego poznał również Leopolda Zborowskiego, polskiego marchandę żydowskiego pochodzenia, promotora wielu malarzy tamtej epoki, który do tego stopnia zachwycił się dziełami młodego artysty, że stał się ich kolekcjonerem. Zresztą rola Zborowskiego w dalszym przebiegu działalności artystycznej Liciniego stanowi do dziś niezbadany temat, który byłby polem ciekawych badań dla naszych historyków sztuki. Pod koniec lat dwudziestych Licini poślubił Nanny Hellström, szwedzką malarkę, z którą zamieszkuje w Monte Vidon Corrado, gdzie kontynuuje swoją twórczość. Twórczość niezwykle bogatą, dzielącą się na kilka wyraźnych okresów, których znaczenie sam artysta podkreśla w swoich pismach, jakby chciał nam pomóc zrozumieć rozwój swych artystycznych dociekań.

Już okres przedstawieniowy uderza widza zaskakującą dojrzałością języka malarzskiego, o której można się przekonać w *Autoportrecie* z 1913 r. Jest to kompozycja pionowa, wzmocniona wyraźnymi i zdecydowanymi pociągnięciami pędzla, pomiędzy którymi przebijają wszędzie biel płótna, nadając temu obrazowi rytm, który może przywoływać na myśl wzory koronek. Natomiast oglądając *Wiatrak*, można się zachwycić nie tylko monumentalnym i eleganckim efektem pionowych i poziomych pasów, które nadają temu malowidłu nastrój uroczystego spokoju i tajemniczości, ale także mnóstwem odcieni fioletu w tle, które są owocem żmudnych poszukiwań kolorystycznych Liciniego w tym dziele z okresu abstrakcyjnego. Kolejny okres, czyli okres przedstawieniowości fantastycznej, wyróżnia się z kolei bardziej krągłymi liniami i większym dynamizmem. Wszystko to tworzy wrażenie napięcia i ruchu, podczas gdy kolory uzyskują bardzo zdecydowane i czyste odcienie. Taki jest *Zbuntowany Anioł na żółtym tle*, wykonany przez Liciniego w ostatnich latach życia, w roku 1952. Być może to właśnie na tym majestatycznym i eleganckim płótnie, gdzie dialektyka linii krzywych i prostych, ciepła żółci i chłodu błękitu wytwarza silne napięcie wewnętrzne, artysta osiągnął maksimum wyrazu i mocy twórczej.

W 2019 r., w sześćdziesiąt jeden lat po śmierci, Licini jest znany i doceniany w całych Włoszech i także za granicą, a jego dom w Monte Vidon Corrado, dziś zamieniony w muzeum, gości wiele wystaw, na których można zobaczyć liczne dzieła rozproszone pomiędzy kolekcjami prywatnymi i muzeami. Ubiegłym latem miałem okazję zwiedzić jedną z nich i muszę powiedzieć, że dla mnie była ona objawieniem, o tyle poruszającym, że jeśli chodzi o Liciniego, to znałem jedynie jego nazwisko, usłyszane gdzieś

przy innej okazji. Oprócz obrazów wrażenie wywarł na mnie również dom-muzeum, w którego pomieszczeniach wydaje się, że wszystko pozostało takie, jakie było 11 października 1958 r., czyli w dniu, w którym artysta opuścił na zawsze ten ukochny zakątek regionu Marche. Przez okna, które wychodzą na okoliczne wzgórza, otwarte na oścież z powodu silnego upału, rysowały się w oddali Góry Sybillińskie, a na podłodze pokoju, który był pracownią malarza, można było jeszcze dostrzec tu i ówdzie małe plamy zaschniętych farb, które mieszał on na palecie.

Bez wątpienia znajomość twórczości Liciniego w Polsce jest, delikatnie mówiąc, niewspółmierna do jej niezaprzeczalnej wartości. Jest to luka, która, gdyby została wypełniona, na pewno mogłaby znacznie wzbogacić horyzonty naszej artystycznej wrażliwości i dostarczyć wiele inspiracji tym, którzy zaczynają swoją przygodę z malarstwem. Wreszcie, w naszych czasach, tak bardzo wyczulonych na tożsamość lokalną, Licini może służyć za przykład, jak można być artystą światowej miary, będąc jednocześnie silnie zakorzenionym, pod każdym względem, w ziemi, z której się pochodzi.



Rys. System..., Mariola Żylińska-Jestadt

ANNA M. MAJEWSKA opracowanie IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Opowieści z cyklu „Historia pewnego domu” ukazały się w książce „Five o’clock in Olsztyn” (grudzień 2019)

STAN WOJENNY DLA DRZEW

Na ul. Kaliningradzkiej (obecnie Dworcowej) mieszkalam przez kilka pierwszych lat życia. Mieszkaliśmy w dwunastokondygnacyjnym budynku nr 58 z czterema klatkami, na czwartym piętrze, w kawalerce z widokiem na szpital dziecięcy – ja, moja mama i mój tata. Moje wspomnienia to głównie emocje dziecka – urodziłam się w Olsztynie w szpitalu wojewódzkim. Pierwsze moje mieszkanie to właśnie ówczesna Kaliningradzka 58. Dlaczego? Bo ojciec w roku 1975, może 1976, miał przesiadkę w Olsztynie w drodze z Kętrzyna do Warszawy. Dowiedział się, że OZOS (Olsztyńskie Zakłady Opon Samochodowych) szuka ludzi z wyspecjalizowanych branż, jak chemia i informatyka. Właśnie budował się Ośrodek Obliczeniowy zakładu. W związku z nadmiarem czasu ojciec poszedł na rozmowę i został. Mama dotarła rok później, po zakończeniu studiów archeologicznych na Uniwersytecie Warszawskim.

Kawalerka to oczywiście mieszkanie zapewnione przez zakład pracy. Jest to środkowe mieszkanie naprzeciwko windy. Układ dosyć standardowy: po drugiej stronie od wejścia tak zwany duży pokój z przejściem do kuchni po lewej stronie, na prawo od wejścia mały pokój typu kiszka, a na lewo od wejścia w końcu korytarzyka łazienka. Na ścianie na wprost wejścia wisiła akwarela, która mojej mamie przypominała jedną z najstarszych kapliczek na Warmii z Dobrąga.

Pokój typu kiszka dzieliłam z tatą – ja tam spałam i bawiłam się, a tata pracował przy biurku. Biurko stało przy oknie, więc mama zabezpieczyła okna sznurkami, żeby się nie otworzyły bardziej niż na 10 cm i żeby dziecko się nie przecisnęło. Zatem dziecko się nie przecisnęło, ale mój czarny kot już tak. Niestety ześliznął się i doznał jakichś wewnętrznych obrażeń, o czym dowiedzieliśmy się po powrocie z wczasów w Bułgarii. Kot nie żył, a opiekujący się nim znany olsztyński historyk głowił się, jak wytłumaczyć to dziecku.

Mimo małej świadomości, wynikającej z mojego ówczesnego wieku, stan wojenny nie był neutralnym przeżyciem. Medialne opinie, że problemem był brak „Teleranka”, lekko umniejszają powagę sytuacji. Do przedszkola chodziłam po przeciwnej stronie skrzyżowania – była to placówka OZOS-u. Gdy w 1981 nastąpił stan wojenny, na tym głównym skrzyżowaniu regularnie pojawiały się patrole – panowie w mundurach dwójkami. Pamiętam, że bardzo mnie to stresowało. Miałam lęki i moja mama zaczęła tych mundurowych, żeby potwierdzili, że żołnierze nie zabijają dzieci. Oni potwierdzili. Tylko co z tego.

Na jedne z pierwszych urodzin moja mama postanowiła upiec tort. Na jego widok podczas urodzin bardzo się ucieszyłam, bo mama ubrała mnie w sukienkę, na której były haftowane dwa barwne kwiaty – „takie same” jak na torcie. Opowiadałam

wszem i wobec, że mama „namalowała” na torcie takie same kwiaty jak z sukienki. Jak okazało się po latach, mama rzeczywiście piekła tort, ale nie utrzymał odpowiedniej formy (być może w wyniku upałów, bo urodziłam się w lipcu) i musiała na szybko zamówić tort w cukierni. Więc kwiaty nie były raczej identyczne z tymi z sukienki. Ciasta, torty i inne wypieki najczęściej kupowało się w Horteksie przy skrzyżowaniu ul. Kaliningradzkiej (obecnie ul. Dworcowa) i al. Zwycięstwa (obecnie al. Piłsudskiego). Latem w weekendy mój tata regularnie chodził do Horteksu po lody cassaté w trzech smakach.

Na tym samym osiedlu, dwa bloki dalej, mieszkała starsza pani, która zajmowała się mną jako opiekunka. Moi rodzice uznali, że ówczesny żłobek jest absolutnie niedopuszczalną formą sprawowania opieki i postanowili, że zatrudnią opiekunkę. W celu wdrożenia planu w życie mój tata musiał wziąć dodatkowe pół etatu i zatrudnił się w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej w Olsztynie (obecnie Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne). Starsza pani bardzo często wykorzystywała fakt opieki nad małym dzieckiem i zabierała mnie na szczególne wtedy zakupy, czyli w dni i momenty, kiedy „coś rzucili” (tak nazywano czas dostaw produktów do sklepu w PRL-u). Wtedy brała mnie na ręce i korzystała z pierwszeństwa w kolejce, a czasem nawet otrzymywała lepszą porcję mięsa (ze względu na dziecko).

Blok usytuowany jest wzdłuż obecnej ul. Żołnierskiej i jest jednym z budynków obecnej Spółdzielni Mieszkaniowej Pojezierze. Pomiędzy budynkami był wyasfaltowany plac zabaw oraz wyasfaltowane boisko z wymalowanymi liniami do różnych sportów. Przed naszym blokiem było wzniesienie, z którego uczyłam się jeździć na sankach. Wtedy wydawało się wielkim stokiem, po latach okazało się małą górką. Również elewacje zmieniły swój architektoniczny wygląd, po dociepleniu nabrały cech termomodernizmu z objawami pastelozji. Także duży trawnik przed blokiem w czasie tych czterdziestu lat zarósł drzewami, które, wykorzystując uchwalone w Sali Kolumnowej w błyskawicznym tempie i bez konsultacji „lex Szyszko”, zarządca terenu wyciął w ciągu jednego dnia.

JAROTY – OSIEDLE NA SKRAJU PIECZEWA

Ulica Jana Boenigka (prawdopodobnie ulica z najdłuższą numeracją w Olsztynie). Czteropiętrowy blok z wielkiej płyty usytuowany na skraju łąki oddzielającej Nagórki od Jarot i przy ul. Krasickiego oddzielającej Jaroty od Pieczewa.

Osiedle odzwierciedla cywilizowane standardy urbanistyczne lat 70. i 80., tj. luźno usytuowane bloki z masą zieleni w przestrzeniach pomiędzy budynkami (sadzonej

m.in. w czynie społecznym przez mieszkańców), z dostępem do wszystkich niezbędnych usług jak przedszkola, szkoły, sklepy, biblioteki, domy kultury. Wiele lat od budowy osiedla na łące funkcjonowało gospodarstwo o charakterze siedliska z czerwonej cegły. Przydział mieszkania na Jarotach otrzymaliśmy nieco z ominięciem ówczesnych zasad (większe niż się należało), wprowadziliśmy się tam od razu chyba w roku 1983. Już na etapie budowy bloku moja przedsiębiorcza mama ustaliła, że ściana kuchni ma być przesunięta (w celu powiększenia pomieszczenia) i że rezygnujemy z linoleum na podłogach (co ciekawe koszt linoleum został odliczony i za tę kwotę kupiliśmy podłogę z drewnianych desek, którą kładł mój ojciec z pomocą wujka).

Pamiętam, jak w trakcie budowy mama wzięła mnie z przedszkola i pojechałyśmy na „Falklandy” (tak wtedy nazywano obecnie największe osiedle mieszkaniowe, oddzielone od „miasta” gruntami rolnymi, łąkami i nieużytkami jak satelita), weszłyśmy na plac budowy i pomaszerowałyśmy schodami bez balustrad na ostatnie piętro (rodzice chcieli, żeby nikt nie tupał nam nad głowami) i mama wskazywała budowlącom, co i jak ma być, i kropka.

Mieszkanie ma ok. 60 m², widok na dwie strony świata, 3 pokoje i balkon. Znajduje się w jednym z pierwszych bloków nowego osiedla. Od wejścia mijamy kuchnię, 2 małe pokoje, na wprost łazienka i po prawej stronie salon. Zanim urosły kasztanowce, widok w kierunku Nagórek zapierał dech, a latem zachody słońca były jak z prospektu. Po drugiej stronie, za kilkoma oddanymi do użytku blokami, aż do jeziora Bartążek rozciągały się truskawkowe i porzeczkowe pola. W kierunku majątku Bartążek prowadziła dębowa aleja do dziś widoczna między ostatnimi blokami współczesnego osiedla. Wciąż wywołuje zdziwienie fakt, że tą wąską osiedlową uliczką wzdłuż budynku kursowały autobusy komunikacji miejskiej, a 100 metrów stąd miały pętlę (także jeszcze zauważalne w układzie jezdni).

Ostatni remont na przełomie mileniów, który nadał mieszkaniu obecny charakter – przecierane ściany w intensywnych barwach, dużo drewna, mozaika w kuchni – wykonaliśmy z moim ówczesnym partnerem Pawłem. Na parapecie długo hodowałam miętę z rodzinnego domu mamy z Budziszynka na Mazowszu, którą w końcu posadziłam w nowym domu na ul. Dąbrowszczaków.

Mieszkańcy bloku i historie z nimi związane to osobny rozdział, ale warto wspomnieć, że ceniona różnorodność miała tam właśnie miejsce. W naszej klatce mieszkali kulturalista (ojciec mojej koleżanki, której piwnica była siłownią całą wytapetowaną wycinankami z kolorowych gazet z sylwetkami kulturystów), człowiek o ksywie „Uszczelka” (notowany na MO za skoki na kioski RUCHu), Pan „Lewandowski 1.4” (taki znaczek z samochodu nabił sobie na drzwi, bo mieszkał pod nr. 14) – mechanik jakiegś reprezentacji sportowej oraz pracownice zakładu karnego w służbowym mieszkaniu (tzw. klawiszyce). Do dziś mieszka Piotr Płaczkowski (olsztyński fotograf, głównie reportaży). Pan „Lewandowski 1.4”, w czasie kiedy woził reprezentację po świecie, wynajmował mieszkanie „Karatece” – gość z czarnym pasem, który ubrany w kimono wychodził i zaczepiał dzieciaki, aby uczyć je sztuki walki. Pewnego razu po kłótni

ze swoją partnerką uznał, że zapewne ona się zamknęła w mieszkaniu i zamierza popełnić samobójstwo, a on z braku klucza musi dostać się tam bezwzględnie, pomijając prawa fizyki (prawdopodobnie w stanie upojenia). Moja mama nie puściła go, tłumacząc, że partnerka właśnie przed chwilą wyszła z domu. Nie dał sobie przettłumaczyć, skorzystał z mieszkania na przeciwko i na czwartym piętrze, po parapecie 10 cm szerokości, i 7-stopniowym spadku, przeszedł, trzymając się krawędzi wielkiej płyty (ok. 3 cm miejsca na palce) jakieś 8 metrów długości do swojej kawalerki. Oczywiście w międzyczasie ktoś zadzwonił na milicję, więc po chwili na podwórko wjechał wóz bojowy straży pożarnej i kierując do szaleńca wysuwaną drabinę z koszem komunikował: „Obywatelu! Zachowaj spokój! Zdejmijmy cię!”. „Karateka” na to, kiedy już stwierdził, że w mieszkaniu narzeczonej faktycznie nie ma: – „A nie trzeba, zejdę tędy”. I zszedł po balkonach aż do parteru. Innym razem wieczorem w bloku obok drze się facet: „Zabije mnie, zabije...”. Ktoś ściąga go z balkonu do mieszkania. Chwila ciszy i znowu wychodzi na balkon: „Zabije mnie...”. I tak kilka razy. Przy ostatnim wystąpieniu pada puenta: „Zabije mnie, zabije... ta komunajeba”. W bloku mieszkali również „prywaciarze”, którzy w swoich oknach mieli obowiązkowo umieszczone brązowe tabliczki przynależności rzemieślników do odpowiednich cechów.

W związku z tym, że wprowadziliśmy się na osiedle, które wciąż powstawało, plac budowy był naszym placem zabaw (pływanie na styropianie po kałużach, wykradanie kawałków bloków kredowych itd.). Ponadto nasz blok stał na skarpie, na którą regularnie zrzucane były połamane żelbetowe płyty – jedno wielkie gruzowisko ze sterczącymi prętami zbrojeniowymi – tam bawiliśmy się w pilotów statków międzyplanetarnych (po lekturze komiksu *Antresolka profesorka Nerwosolka* Tadeusza Baranowskiego). Oprócz tego wielka łąka z mokradłami, rowem melioracyjnym, czystą wodą i trzaskami były wielkim polem eksploracji przyrodniczych. Po drugiej stronie ulicy Krasickiego budowało się Pieczewo. W lesie stacjonowało wojsko, które wyprowadziło się po kilku latach, a my długo jeszcze buszowaliśmy po niezdemontowanym „małpm gaju”, strzelnicach i poligonie z atrapami czołgów i budynków. Uwielbialiśmy też chodzić latem nad jezioro Skanda, które miało wielką piaszczystą skarpe i 3 pomosty. Nad Skandę chodziliśmy właśnie przez poligon i „małpi gaj”, biegnąc boso po rozgrzanych oponach wbitych na sztorc w ziemię i ciągnących się setkami metrów po poligonie – kto spadł, ten przegrywał. Przechodziliśmy obok masztu radiowo-telewizyjnego, drugiego pod względem wysokości obiektu w Polsce (wcześniej maszty były tu dwa). Obecnie ten teren przeznaczony jest częściowo do zabudowy – to wielka szkoda, bo ma ciekawe ukształtowanie terenu, różnice wysokości, wąwozy, wzniesienia, wykształcony już las, urokliwe mokradła, na których znajdowało się stanowisko bagna zwyczajnego, rośliny chronionej.

Nadal jestem właścicielką mieszkania na Jarotach – według mnie to najlepiej zarządzana spółdzielnia w mieście: segregacja odpadów od lat 2000, czystość i dbałość o zieleń, najlepiej odśnieżane nawierzchnie piesze i drogowe w całym mieście.

ANNA MICHALKIEWICZ

System biblioteczny porządkujący świat informacji i system więziennictwa

System biblioteczny porządkujący świat informacji i system więziennictwa kojarzący się z karą i przymusem – czy to da się połączyć? Okazuje się, że tak. Do tego stopnia, że biblioteki funkcjonują w zakładach karnych jako ważny element resocjalizacji. Z kolei placówki pozostające „na wolności” często chętnie współpracują z tymi „za kratami”, poszerzając swoją ofertę. Istotą biblioteki, gdziekolwiek by się ona nie znajdowała, jest służenie społeczeństwu poprzez dostarczanie szeroko pojętej informacji. Użytkownik może ją wykorzystać w celach edukacyjnych, poznawczych, rozrywkowych. Od niego tylko zależy, czy doceni taką możliwość, czy nie. Często nie zdajemy sobie sprawy z wielu udogodnień i możliwości otaczającego nas świata, dopóki ich nie stracimy. W takiej sytuacji znajdują się ludzie osadzeni w aresztach i zakładach karnych. Abstrahując od powodów, dla których stracili wolność, z dnia na dzień zamknęły im się liczne możliwości związane z dostępem do różnorodnych dóbr kultury.

Wychowawcy pracujący w tych placówkach wykorzystują wszelkie możliwości włączania książki w system resocjalizacji osadzonych. Na przykład co roku biorą oni udział w „Narodowym Czytaniu”, co daje namiastkę kontaktu ze światem zewnętrznym. Także na co dzień książki są chętnie wypożyczane. W ZK w Kamińsku w trakcie przeprowadzania rutynowej kontroli zbiorów (tzw. skontrum), kiedy to zbiory były niedostępne dla czytelników, więźniowie wyrażali swoje głębokie niezadowolenie z tego powodu i ciągle dopytywali się, kiedy będzie można znowu wypożyczać książki. A w ich sytuacji kontakt ze słowem drukowanym to możliwość zapomnienia o nudzie i stresie. Izolacja, monotonia, przymus – to elementy więziennej codzienności. Książka daje możliwość „ucieczki” do innego świata, chociaż na chwilę. Sytuacja bibliotek w zakładach karnych w Polsce nie jest zbyt dobra. Ich zasoby to głównie dary z bibliotek publicznych w postaci zbiorów wycyfrowanych, a więc niechcianych i z jakichś względów nieczytanych. Czasami są to jednak wartościowe publikacje, których w bibliotece było za dużo. Dotyczy to np. przekazywanych podręczników. Są one ważne dla tych osadzonych, którzy w trakcie odbywania kary kontynuują edukację, kończą szkołę, przystępują do egzaminów. Zdarzają się także dary w postaci nowości. Wychowawcy podają przykłady chętnego włączania się części podopiecznych w prace twórcze: produkują oni własne publikacje, tworzą poezję, wystawiają spektakle. Praca bibliotekarza, czy pomocnika bibliotekarza, jest także formą nagrody. Dla osoby, która odbywa długoletnią karę, możliwość takiej aktywności jest nie do przecenienia.

Oczywiście są i inne zachowania. W areszcie na warszawskiej Białotęce jeden z osadzonych wyznaje: *Książki przydają się tu nie tylko do czytania. Dla niektórych kartki to darmowe bibułki do zawijania tytoniu, inni podpierają sobie chwiejące się łóżko. Ale inny czytelnik z tej samej placówki wyznaje: „Zieloną miłą” przeczytałem tylko do połowy. Reszta książki zaginęła. Chciałbym kiedyś dostać kompletny egzemplarz. Skończyłbym¹*. Oczywiście czytają i korzystają z biblioteki te osoby, które na wolności także czytały, chociaż zmiana sytuacji życiowej wpływa na nawyki. Wielu wychowawców podkreśla, że zaczynają czytać ci, którzy na wolności nie przejawiali takich chęci, a literatura kojarzyła im się z przymusem edukacyjnym. W katowickim areszcie organizuje się koncerty i spotkania autorskie, których odbyło się 70 w ciągu 10 lat². W Zielonej Górze Biblioteka Norwida oraz Areszt Śledczy podpisały umowę, na mocy której osadzeni uczestniczą w imprezach organizowanych przez bibliotekę. Mogą także korzystać z przekazanych książek, w tym z nowości³. W Areszcie Śledczym w Krakowie funkcjonuje klub dyskusyjny „Szkoła czytania”. Jego uczestnicy omawiają dzieła takich autorów jak: Olga Tokarczuk, Joseph Conrad, Doris Lessing, William Faulkner⁴. W Brazylii w 2012 r. powstał pomysł, aby czytanie książek i pisanie esejów na ich temat mogło skracać wyroki⁵.

Także Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie od lat wspiera areszty śledcze i zakłady karne w naszym regionie. Współpraca objęła: Zakład Karny w Kamińsku, Zakład Karny w Barczewie oraz dwa oddziały Aresztu Śledczego w Olsztynie. Na przestrzeni dziesięciu ostatnich lat przekazywaliśmy publikacje z myślą o pomocy w pracy wychowawczej. Były to tytuły beletrystyczne, podręczniki z różnych dziedzin wiedzy, pomoce dydaktyczne dla wychowawców. Jeden z nich odbył w WBP w Olsztynie kilkudniowe szkolenie poświęcone organizacji pracy w bibliotece.

Książka jest jednym z najprostszych elementów dotarcia do innej osoby, nośnikiem wiedzy i rozrywki, szansą na refleksję, rozwój duchowy i być może zmianę życia. Na pewno może pomóc po odbyciu kary w odnalezieniu się w świecie, w którym funkcjonuje tak wiele systemów.

1. <https://przekroj.pl/kultura/skazani-na-czytanie-bibliocreatio>

2. <https://www.polsatnews.pl/wiadomosc/2018-12-04/wychowawcy-w-aresztach-wiezniowie-chetniej-czytaja-niz-osoby-na-wolnosci/>

3. <https://zielonagora.wyborcza.pl/zielonagora/7,35182,21623289,biblioteka-zaczyna-wspolprace-z-aresztem-osadzeni-lubia-czytac.html>

4. <https://gazetakrakowska.pl/co-robia-osadzeni-w-krakowskim-areszcie-czytaja-faulknera/ar/c13-14664901>

5. <http://booklips.pl/newsy/w-brazylijskich-wiezniach-czytanie-ksiazek-skroci-wyroki/>

MARCEL KRUEGER przełożyła BARBARA SAPAŁA

Wyspa i miasto

Być może to właśnie wyspa jest właściwym miejscem do pisanie o mieście. Spoglądanie na rzeczy z daleka pomaga niekiedy zobaczyć je takimi, jakimi są w rzeczywistości.

Siedzę w ciepłym domu w jednym z moich ukochanych zakątków w Irlandii, na wyspie Rathlin. Rathlin leży w odległości 7 mil od wybrzeża hrabstwa Atrim, ma kształt litery L i nieco ponad stu mieszkańców, a ja przyjeżdżam tu każdą zimą, żeby czytać i pisać, i żeby zimowe wiatry znad Atlantyku przegoniły z mojego czerepu wszystkie najeżone myśli i troski, jakie nagromadziły się tam przez ostatni rok. Z okien mojego domu widać łagodne wzgórza na wschodzie i na południu wyspy, biały dom zagubiony między polami i pagórkami, trzy maszty na Slieveard, czyli najwyższym punkcie wyspy, i starą budę straży przybrzeżnej mającą na tle Mull of Kintyre, który wyraźnie widać po przeciwnej stronie Kanału Północnego – cieśniny między Irlandią i Szkocją.

Kiedy myślę o Olsztynie, daleko na wschód ode mnie, i o czasie tam spędzonym, mam niemalże wrażenie, że jest on zbyt daleko. W roku 2019 dzięki stypendium Niemieckiego Forum Kultury Europy Wschodniej przebywałem tam jako oficjalny pisarz miejski. Spotykałem ludzi, chodziłem ulicami miasta i czerpałem z niego tyle, ile się dało. Po pięciu miesiącach, w czasie których pozwolono mi być częścią tego pulsującego życia grodu, jestem oto znowu w Irlandii, gdzie jakiś czas temu odnalazłem swoje miejsce na ziemi.

Przez pięć miesięcy zanurzałem się w mieście, odkrywałem jego historię i mieszkańców, architekturę i uczyłem się łączących ich wzajemnych powiązań. I delektowałem się tym. Przybyłem tam jako obcy, mimo że samo miasto i rolę, jaką odegrała w nim moja rodzina, znałem już wcześniej. Ta „obcość” pozwoliła mi szybko pozbyć się bagażu złożonego z wyobrażeń i stereotypowych obrazów, które być może nieświadomie przywiozłem tam ze sobą.

I ponownie dotarło do mnie, że Niemcy, pomijając tych kilka zadawnionych wschodniopruskich stereotypów grasujących w Niemczech (co wyjątkowo nie jest stereotypem...), nie wiedzą wystarczająco dużo o Polakach i o Warmii i Mazurach. Mam więc nadzieję, że mój pobyt w Olsztynie i moje o nim teksty pomogą wyostrzyć wrażliwość na to, jak wiele łączy Polskę i Niemcy. Dziś nie możemy sobie pozwolić na ignorancję. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy w obu tych krajach społeczeństwa podzielone są przez kłótnie w kwestiach uchodźców, prawa LGBTQ i właściwej interpretacji faktów historycznych, i wszyscy tylko sobie wymyślają na Facebooku, musimy współpracować jeszcze ściślej i jeszcze

lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Współpraca zawsze jest lepsza niż podział z powodu błahostek, a solidarność niż wykluczenie.

Rathlin ze swoją niewielką społecznością, w której każdy każdego zna i wie, co się dzieje na wyspie, przypomina mi o tym, jak ważne są miasta. Jak powiedział w wywiadzie Alan Moore, jeden z moich ulubionych pisarzy: *Dysponujemy teraz możliwościami technicznymi, dzięki którym gminy mogą poznawać lokalne problemy i znajdować sposoby na ich rozwiązanie. Dużo lepszym wyjściem dla wszystkich byłoby skomunikowanie społeczności [z ich lokalną wiedzą] na całym świecie.* I mój pobyt w Olsztynie potwierdził to – tylko w mieście możemy się nauczyć akceptacji drugiego człowieka, rozpoznawania potrzeb, współpracy, a także – tak, tego też – artykułowania naszych skarg i protestowania przeciwko temu, co niewłaściwe. Tylko miasto daje nam możliwość bezpośredniego odczucia skutków przestępczości gospodarczej i tej zwykłej jako czegoś realnego, a nie abstrakcyjnego i odległego. To właśnie miasto zmusza nas do zajęcia się drugim człowiekiem.

Olsztyn, wznoszący się nad brzegiem tyny, między warmińskimi pagórkami, polami i lasami, ma w sobie coś z wyspy. To miasto, które przrasta okręgami niczym słojami wokół krzyżackiej starówki – najpierw czerwoną cegłą pruskich koszar i bogatej mieszczańskiej dzielnicy, potem betonem komunistycznej Polski, stając się wreszcie małą, pulsującą życiem metropolią pełną młodych ludzi. Może nie jest to miasto idealne – wciąż jeszcze znajduje się w nim rzeczy, które, zdaniem niektórych, w zależności od ich orientacji politycznej, powinny być usunięte, wyrzucone lub zastąpione przez inne. Ale nie jest to miasto, które nosi się „ponad stan”.

Wspominam miesiące, w czasie których szwendałem się po jego latem często zbyt upalnych ulicach, spocony i nierzadko skacowany, jako że wszystkie oficjalne działania pisarza miejskiego były według mnie czymś, za co należało nagrodzić się piwem i pierogami. Czyniłem tak często, a moja talia nie była mi za to wdzięczna. Ale chodząc ulicami miasta stwierdziłem, że niczego mi nie brak. Teraz mój czas pisarza miejskiego w Olsztynie dobiegł końca i to z nieodwracalnością, która niekiedy wydaje mi się zbyt rygorystyczna. Było to moje pierwsze stypendium tego typu i jest coś smutnego w tym, że w przyszłości nie zagości tam już żaden inny pisarz miejski albo przynajmniej żaden ze stypendium Forum Kultury.

Na Rathlin właśnie wybieram się na wędrowkę przez wyspę, żeby przez morze popatrzeć na Szkocję. Ale kiedy wyruszam, moje myśli na chwilę uciekają przez zupełnie inne morze na ulice miasta, które przez pewien czas było moim.

ANDRZEJ WOJNACH

SYSTEM... filmowy?

Na film zazwyczaj patrzymy jak na dzieło sztuki odzwierciedlające emocje artysty, rzadko zastanawiamy się nad tym, dlaczego jedne filmy nam się bardziej podobają, a drugie mniej. Co wpływa na nasz odbiór? Najprostsza odpowiedź brzmi – warstwa obrazu i warstwa dźwięku, z których zbudowane jest dzieło filmowe. I niewątpliwie jest ona prawdziwa w swojej prostocie wskazującej na percepcję świata dwoma podstawowymi kanałami – wzrokiem i słuchem. Przy czym zapominamy, że każdy z nich funkcjonuje w odrębny sposób. Przeciętny zjadacz mediów audiowizualnych na pytanie, co jest ważniejsze w ich odbiorze, wskaże na wzrok, oceniając go jako dominujący zmysł. Piotr Francuz, badacz mediów audiowizualnych, w pracy *Imagia*. W kierunku neurokognitywnej teorii obrazu wskazuje, że takie traktowanie audiowizualnego przekazu wypacza go. Píše on: *zauważyłem, że badacze mediów audiowizualnych niewspólnie częściej koncentrują się na warstwie tekstowej (werbalnej) przekazu, niż na danych wizualnych oraz po drugie, że także zdecydowanie częściej odnoszą się do treści (zawartości) przekazów medialnych, niż do ich struktury. Podejście badawcze, zgodnie z którym sens przekazu audiowizualnego dostrzega się niemal wyłącznie w zawartych w nich słowach, natomiast sens obrazu – o ile w ogóle brany pod uwagę – jest traktowany marginalnie, jako nieistotny dodatek do wypowiedzianej treści, jest przejawem zasadniczego nierozumienia tego medium. Obrazy podobnie, jak słowa, są równie ważnymi nośnikami znaczeń i wspólnie z nimi wyznaczają sens przekazu audiowizualnego. Co więcej, marginalizowanie roli obrazu w tworzeniu sensu przekazu audiowizualnego prowadzi w konsekwencji do niedostrzegania złożonych interakcji semantycznych, jakie zachodzą między znaczeniami słów a znaczeniami towarzyszących im obrazów. Ponadto w badaniach nad mediami audiowizualnymi często za pomocą jednych treści przekazów tłumaczy się inne, a ignoruje fundament, na którym wszystkie one są osadzone, czyli ich formę.*

Problem, o którym pisze, odnosi się jednak nie tylko do badaczy, ale też do całego gremium żyjącego w przestrzeni ekranowej. Nie obraz, a tekst. Znamienna dla tego stwierdzenia wydaje mi się dyskusja prowadzona zarówno w środowisku filmowym, jak i poza nim o wadze dobrego scenariusza, gdzie za dobry uznaje się z reguły ten z błyskotliwymi, chwytliwymi dialogami. Zdarzają się oczywiście sytuacje odwrotne, tj. głęboka wiara, że niedoskonałości struktury scenariusza i brak tekstów dialogowych przykryją piękne zdjęcia czy niekonwencjonalna forma operatorska. W końcu obrazy wybitnych mistrzów nie mają warstwy dźwiękowej. Okazuje się jednak, że mają, bowiem poprzez swoją narrację złożoną z treści umieszczonych na obrazie/ekranie i formy, w jaką zostały oprawione, przekazują odbiorcom sygnały, żeby schematy

myślowe, scenariusze, jakie zostały zbudowane w ich świadomości, zaczęły „mówić”.

Scenariusz filmowy to spójny, elastyczny system estetyczny o wielkim zasięgu i mocy, który w sposób udratyzowany przedstawia stałe i powszechne aspekty ludzkich działań, prezentując je w sposób jasny i przekonujący, zawsze trafiając w swoje czasy i nawiązując do bieżących tematów politycznych, społecznych, dzięki czemu jest zrozumiały i jego przekaz możemy odczytywać na naszym wewnętrznym „kinie domowym”. Odczytywanie, a nie widzenie. W naszych mózgach następuje reakcja na tak wiele różnych bodźców przekazanych przy pomocy obrazu i jego korelacji z falą dźwiękową, jaką jest warstwa efektów, muzyki i słów wypowiedzianych przez postacie na ekranie. Przywiązaliśmy się do przekonania, że słowa wypowiedziane w życiu są ważne, ważniejsze niż postępowanie osób, z którymi się stykamy. Życie pokazuje, że dzieje się odwrotnie, to postępowanie ludzi, czyli ożywiony obraz, jest ważniejsze od słów, które wypowiadają. Identycznie jest w strukturze scenariusza, motywacje postaci poznajemy przez ich działania, a nie przez wypowiedziane przez nich słowa. Z ekranu może nie paść ani jedno słowo, a obraz, który na nas oddziałuje, przeniesie pełną, zrozumiałą treść generalnego przekazu.

Sztuka filmowa zawdzięcza zrozumienie struktur narracyjnych dwóm badaczom, którzy nie mieli związków z filmem. Jednym z nich był badacz mitów Joseph Campbell, który książką *Bohater o tysiącu twarzy* zaprosił nas w mityczną podróż w świat nowego mitu. Campbell, badając mity funkcjonujące w różnych kulturach, zobaczył funkcjonujący w nich schemat – historię ludzkiego życia. Zawsze niezmiennie, oparte na trójpodziale – początek, środek i koniec – nieuchronnie dotykają każdego z nas. Narodziny, życie i śmierć. Taka jest właśnie konstrukcja każdego filmowego bohatera, rodzącego się na naszych oczach, dojrzewającego w działaniu i zwyciężającego lub nie, ale zawsze kończącego opowiadać swoją historię. Koncepcja Campbella została opracowana i włączona w powszechnie stosowany system tworzenia scenariuszy, w którym funkcjonuje do dziś. A tworzone według niej scenariusze filmowe przez dziesiątki lat odkładają się w naszym mózgu, wpływając na nasz osobisty scenariusz twórczego odczytywania świata. Sposób przedstawienia realności w przekazie audiowizualnym modyfikuje jej rozumienie, interpretację i wartościowanie w porównaniu z rozumieniem, interpretacją i wartościowaniem tej sytuacji w świecie rzeczywistym. Intencja twórcy i zastosowane przezeń środki wyrazu ustanawiają zupełnie nową rzeczywistość zamkniętą w ramy ekranu. Ale, jak już wspominałem, rzeczywistość znaną, którą przez całe nasze życie mieliśmy wpajaną za pośrednictwem opowieści żywych, obrazów, filmów, bajek etc. Przekaz audiowizualny podświadomie traktujemy jako rzeczywisty, nie zwracając uwagi na organizujący go

system. Film często tylko dzięki gatunkowej etykiecie, np. film dokumentalny, przesuwamy z obszaru bajki do przestrzeni opis rzeczywistości. W filmie fabularnym takim psychologicznym wytrychem może być sformułowanie – „film oparty na faktach”. Ale nawet wówczas w naszej świadomości odrodzi się schemat, który w latach 30. ubiegłego wieku odkrył Władimir Propp i upowszechnił w *Morfologii bajki* oraz *Historycznych korzeniach bajki magicznej*. Propp badając bajki różnych kręgów kulturowych skonstatował, że zbudowane są z tych samych powtarzających się elementów tworzących system oddziaływań na odbiorcę. Wskazał na istnienie stałych, aczkolwiek modyfikowalnych układów narracyjnych; układ funkcji poszczególnych elementów decydujących o magiczności nazywa kompozycją bajki. Stwierdza ponadto, że dla rozumienia sensu i poddania się emocjonalności bajki magicznej nie jest istotna szczegółowa charakterystyka postaci, a jedynie ich funkcja – to, czy pomagają, czy też przeszkadzają głównemu bohaterowi. Propp dodaje do swojej analizy jeszcze dwa istotne elementy. Pierwszym było zestawienie bajki z mitami zarówno ludów pierwotnych, jak i cywilizowanych społeczeństw starożytności, co podnosi rangę bajki w kulturze, pozwalając jej rywalizować z mitem i wydobywając ją z „dziecięcego getta”. W ten sposób bajka przestaje być opartym na fantazji historycznej kulturowym produktem przeznaczonym stricte dla dzieci. Propp określa mit jako opowieść o bóstwach lub istotach boskich, w których istnienie wierzy lud, wiarę traktując jako czynnik historyczny, a nie psychologiczny. Dlatego rozróżnia mit i bajkę nie ze względu na ich formę, ale funkcję społeczną, uważając, że pod względem formalnym nie da się ich rozróżnić.

Kolejny składnik filmowego systemu zbudowały wielkie studia filmowe, dla których produkcja filmów stała się sprawą drugorzędną, którą zlecono producentom niezależnym. Studia skupiły się na zarządzaniu własnością intelektualną, czyli marką, w jaką powoli zamieniał się tytuł filmowy. Obszar dystrybucji i cyrkulacji filmu podlega coraz ściślejszej kontroli i planowaniu, a widz stał się elementem rozbudowanej gry medialnej mającej podtrzymywać jego zainteresowanie produktem przez czas możliwie najdłuższy. Jednym z jej elementów stał się sequelizm, wykorzystujący ogólnogospodarcze mechanizmy podziału życia człowieka na okresy określonej przydatności do konsumpcji rynkowej i nieustający pęd do bycia w nurcie konsumowania. Widz nie może otrzymywać jedynie zachęty do obejrzenia filmu, musi otrzymać konwergentny pakiet stymulujący jego nieustanne zainteresowanie produktem. Projekcja kinowa stała się dodatkiem, stymulatorem, ukoronowaniem. W analizach polityki reklamowej niestety z reguły ogranicza się działania marketingowe do przedmiotów: gadżetów, gier, wydawnictw, płyt, zapominając o „kulturowym interfejsie”. W obszar przygotowywanej cyrkulacji produktu wchodzi między innymi również powstające dzięki bohaterom „memy kulturowe”, słownictwo, postawy i style zachowania bohaterów, przestrzeń dźwiękowa czy wizje plastyczne przestrzeni filmowej w coraz większym stopniu podtrzymujące zainteresowanie

produktem. Wpływy z eksploatacji kinowej spadły poniżej 40 procent przychodów. Rosną natomiast zyski z zarządzania licencjami i własnością intelektualną. Projektowanie produktu odbywa się w ramach ewoluującego rynku doznań. W warstwie narracji następuje zmiana bohatera. Postacie kobiece nie są doskonale piękne, ale są za to silne, wojownicze i odpowiedzialne. Nie zamierzają poddawać się regułom społecznym, ale kształtują świat wokół siebie. Są elementem gender. W męskiej odstonie pojawia się bohater ze skazą, który dopiero dopełniony przez żeńską postać, przez nią wspierany, odnosi sukces. Trzecim wariantem wykorzystywanym w nowych narracjach stał się bohater zbiorowy – grupa współpracujących ze sobą postaci – sugerujący odwoływanie się do etosu zespołu budowanego przez wielkie korporacje. Produkty audiowizualne eksploatujące ten model ogląda więcej widzów niż pierwsze. Na to zjawisko przejścia od pozbawionego refleksji konsumpcjonizmu do budowania wartości w nowym, zmutowanym, pozbawionym emocjonalnej bazy świecie zwraca uwagę Zygmunt Bauman, diagnozując płynną, pozbawioną fundamentów ponowoczesność i pokazując fałszywy, obraz „szczęśliwości” kształtowany przez korporacyjne media. W ten sposób ewoluuje przedstawiony system, adaptując się do nowych kulturowych warunków.



Rys. System jedzący... Mariola Żylińska - testadt

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

System władzy

Wielki królewiecki filozof Immanuel Kant nie stworzył systemu filozoficznego, chociaż jego krytyki mogłyby stać się takiego systemu częścią. A jednak na filozofię Kanta, a ściślej na jego późny traktat *Do wieczystego pokoju* (*Zum ewigen Frieden*, 1795), powołuje się twórca słynnej tezy o końcu historii Francis Fukuyama. Pytanie, dlaczego Kant systemu nie stworzył, pozostaje otwarte. Dokonał przewrotu kopernikańskiego, dowodząc, że przedmiot jest wytworem podmiotu poznającego, powstającym na bazie dostępnych mu form zmysłowych i kategorii rozumowych. Idealizm obiektywny Kanta otwierał drogę pesymizmowi poznawczemu, ale też prowokował do rekonstrukcji systemu filozoficznego, który byłby oparty na kantowskich, czy nawet całkowicie odmiennych przesłankach. Takie systemy konstruowali zarówno filozoficzni przeciwnicy Kanta, jak i neokantysty. W istocie filozofia Kanta zawiera przesłanki do rozwinięcia systemowego i otwiera epokę nowożytną filozofii.

Rozkwit myślenia systemowego w filozofii niemieckiego idealizmu powiązany był z dokonującymi się w tym okresie zmianami światopoglądowymi. Agnostycyzm wypierał wiarę w osobowego Boga, a system religijny zastępowały systemy filozoficzne oparte na przesłankach naukowych. Można nawet zaryzykować tezę, że potrzeba tworzenia komplementarnych systemów wiedzy była efektem utraty poczucia kosmicznego ładu, jaki wcześniej gwarantował światopogląd religijny. W procesie tym przewrót kopernikański Kanta znalazł niewątpliwą kontynuację. Tworzonym w następnych dziesięcioleciach systemowym syntezom nie przeszkadzał fakt, że wiek rozumu bardzo szybko zastąpiły romantyczne intuicje i sentymenty.

Dopiero modernizm przyniósł istotną zmianę. Podczas gdy filozofia stopniowo zamykała się w akademickich kontynuacjach wielkich poprzedników, w kulturze artystycznej pojawiły się coraz wyraźniejsze symptomy kryzysu władzy. Jednym z charakterystycznych motywów estetyki ekspresjonistycznej było założenie, że rzeczywistość jest sterowana przez niejawne, działające ponad prawem i wrogię społeczeństwu siły. Powstanie państw totalitarnych było efektem tego procesu, próbą zastąpienia dawnych monarchii nowym, opartym na popularnej idei abso-

lucyzmem. Co ciekawe, ideolodzy w państwach totalitarnych również dążyli do wykreowania systemów – oczywiście czyniąc to na bazie populistycznych założeń, nie mogli stworzyć systemu uniwersalnego. Stąd liczne wykluczenia, podporządkowanie dyskursów ideologicznych walce o władzę i tajne policje.

Po II wojnie światowej formy władzy w wielu państwach uległy złagodzeniu. W państwach demokratycznych społeczeństwa mogły się cieszyć względną swobodą, co traktowano jako dowód, że taki system polityczny może sprzyjać szczęśliwemu życiu. Tak jak w projekcie Kanta, społeczeństwo obywatelskie oparte na poszanowaniu praw i obowiązków, w którym wzajemne relacje i hierarchie ustanawiane są na zasadach wymiany handlowej, to społeczeństwo, któremu wojna jest obca. W takim społeczeństwie naturalne dążenia formowane są w postaci rywalizacji handlowej, a wolny rynek zastępuje pole bitwy. Dzieje się tak jednak tylko do momentu, kiedy jest to społeczeństwo równych szans. Prawo kumulacji kapitału Marksa nie pozostawia złudzeń, że w warunkach gospodarki kapitalistycznej dysproporcje pomiędzy biednymi i bogatymi będą się pogłębiały, a nadmierne bogactwo będzie prowadziło do niesprawiedliwości, a więc i nietrwałości prawa.

Neoliberalowie, a wśród nich także powołujący się na Kanta Fukuyama, uważają, że rozwiązaniem tego dylematu jest wolność obywateli w systemach zarządzanych metodą korporacyjną. Rzeczywiście korporacje dysponują przestrzenią wolności znaną tylko władcom absolutnym. Chociaż Kant na pewno nie poparłby porządku społecznego, którego ład i dobrobyt opiera się na eksporcie konfliktów zbrojnych i outsourcingu. O tym, że jest to wolność iluzoryczna, przekonali się także liczne grupy społecznie wykluczonych w wielu państwach, których demokratyczny parlamentaryzm sterowany jest przez gospodarkę korporacyjną.

Systemowy obraz świata, postrzeganie wszystkich zjawisk w holistycznej jedności i rozumienie wszystkich sfer i elementów rzeczywistości jako organicznej całości wymaga poznawczej pokory. Aby dostrzec nie tylko wzajemne zależności form bytu, lecz także istnienie wszelkich zjawisk niepoddających się klasyfikacjom i racjonalizacji. Powrót do filozofii Kanta może nas uchronić przed manipulacją i przed opartym na życzeniach, a nie regułach rozumowaniem. W ten sposób nasza władza sądenia może nas uchronić przed władzą i nieuprawnionym sądem nad nami.

BERNADETTA DARSKA

Dziesięć odstón pamięci. Mur Berliński 1961-1989

Odstóna pierwsza, czyli pamięć historyczna. Wizyta w stolicy Niemiec, niezależnie od celu i kontekstu, to przypomnienie sobie tego, że Berlin przez kilkadziesiąt lat był rozdzielony murem. Miasto do dzisiaj jest naznaczone tą granicą – poprzez przemysłane upamiętnienie, poprzez dostrzegalne ślady tego, co było, poprzez wpływ przeszłości na biografie tysięcy ludzi. 1961-1989, czyli daty wskazujące na zamknięcie granic między Berlinem Wschodnim a Zachodnim oraz na zburzenie muru to okres, który znaczy berlińską przestrzeń.

Odstóna druga, czyli pamięć jednostkowa. Istnienie muru to dramat wielu ludzi. Za każdym z nich stoi inna historia. Jednocześnie wszystkie te opowieści podporządkowane są pewnemu powtórzeniu. Stoi za nimi tęsknota za wolnością i pragnienie normalnego życia. Mur, który rozdzielił rodziny, przyjaciół, sąsiadów, do dzisiaj przypomina o tych dramatycznych wydarzeniach. Niemcy dokumentują świadectwa tych, którzy dzielą się swoimi wspomnieniami z tamtych czasów, opowiadają o marzeniu, by miasto było jednością, wracają do zrealizowanych lub tylko planowanych ucieczek.

Odstóna trzecia, czyli pamięć ofiar. Berlińczycy nie odwracają się od przeszłości. Ofiary śmiertelne mają swoje miejsce w przestrzeni. W miejscu upamiętnienie Petera Fechter na Zimmerstraße pojawiają się kwiaty. Zaraz za punktem, w którym zginął postrzelony i wykrwawiający się w strefie śmierci chłopak, jest bar z jedzeniem. Życie sąsiaduje ze śmiercią – to nie tylko metafora, ale i układ, który powtarza się w różnych częściach miasta. Na Bernauer Straße w oknach pamięci pojawiają się wszyscy, którzy zginęli, próbując przekroczyć mur. Również w tym miejscu znajdziemy znakomicie zaplanowaną opowieść o ucieczkach. Mamy więc wmurowane w chodnik tablice pamiątkowe, okrągłe płytki pamięci i wytyczone na trawnikach ślady po tunelach. Nad Sprewą przy Reichstagu oraz na ogrodzeniu Tiergarten między Reichstagem a Bramą Brandenburską umieszczono Białe Krzyże. Poświęcono je tym, którzy, uciekając, stracili życie. Każdy turysta musi je zauważyć. Nie da się tego widoku pominąć.

Odstóna czwarta, czyli pamięć włączająca. Jej znakomitym przykładem jest Gedenkstätte Berliner Mauer na Bernauer Straße. Cała ulica staje się opowieścią o istnieniu muru

– pełną znaczeń, sensów, uzupełnień, dialogujących ze sobą opowieści. Jednocześnie miejsce to, choć poświęcone pamięci, wpisane jest w codzienność. Nie przestaje być zwykłą ulicą. Przechodnie i ci, którzy przybywają tu specjalnie, mogą więc w pamięć się angażować, ale także uznać ją za coś zwyczajnego, co jest elementem ich dnia, lecz nie musi być w sposób szczególny celebrowane.

Odstóna piąta, czyli pamięć street artu. East Side Gallery jest jednym z chętniej odwiedzanych miejsc w Berlinie. Spacer od Oberbaumbrücke do Ostbahnhof, blisko półtora kilometra wzdłuż dawnej granicy, to doświadczenie szczególne. Murale poświęcone idei wolności przypominają zarówno o przeszłości, jak i zyskują nowe znaczenia w kontekście teraźniejszości.

Odstóna szósta, czyli pamięć popkulturowa. Checkpoint Charlie, dawne przejście graniczne, to miejsce, w którym tłumy turystów są właściwie cały czas. Choć znajduje się też tutaj Muzeum Muru, to jednak gadzety i różnego rodzaju pamiątkowe akcesoria dominują nad przekazem ideowym. Nic dziwnego, skoro nawet kielbaski nazywają się Checkpoint.

Odstóna siódma, czyli pamięć mimowolna. Ujawnia się ona zwłaszcza wtedy, gdy znajdujemy się w dawnych stacjach widmo. Na przykład Nordbahnhof – miejsce codziennych przesiadek tysięcy ludzi, świadek rytmu codziennego dnia, a jednocześnie przypomnienie dawnej martwoty tych przystanków, które na kilkadziesiąt lat zostały zamknięte.

Odstóna ósma, czyli pamięć nie do odrzucenia. Berlin nie zmusza do pamiętania o murze. Jednak miasto do dzisiaj jest naznaczone jego śladem. Berlin bez muru pozostaje Berlinem z murem. Nie da się więc nie pamiętać.

Odstóna dziewiąta, czyli pamięć pracująca. Przestrzeń i sposoby upamiętniania cały czas są poddane dynamice ruchu. Widać to zwłaszcza wtedy, jeśli zaczniemy się tematyką Muru Berlińskiego trochę interesować. Wówczas widać, jak mur zmieniał Berlin, a także jak pamiętanie muru zmienia miasto.

Odstóna dziesiąta, czyli pamięć jako zobowiązanie. Aby się nie powtórzyło, aby ludzi łączyć, nie dzielić, aby mur pozostał złym wspomnieniem, a nie pomysłem na dyscyplinowanie ludzi w innych czasach i innych miejscach.



Studenci dziennikarstwa i komunikacji społecznej, seminarystki dr MAŁGORZATY SZYDŁOWSKIEJ (UWM)

System

SZYMON TROCHOWSKI – USA wyznacza trendy

Wielu zastanawia się, jak młodym sportowcom stworzyć szansę na zawodową karierę. Często narzekamy, że młodzież dostaje coraz mniej szans na udowodnienie swoich umiejętności. Szukamy dziury w szkoleniu, genetyce, mentalności, lecz nie zdajemy sobie sprawy z problemu systemu wprowadzania nastolatków do grup seniorskich. W Stanach Zjednoczonych zaczęto dostrzegać tę kwestię już dawno temu, więc zdecydowano się na cudowny system, którego efektem końcowym jest draft. Występuje obecnie we wszystkich zawodowych ligach sportów drużynowych na terenie USA oraz Kanady.

Czym zatem jest rzeczony draft? Otóż najłatwiej zobrazować ten temat na przykładzie koszykówki, która w Polsce ostatnimi czasy zyskuje rozpędu, lecz już teraz kibice martwią się, co przyniesie przyszłość. Za oceanem rozbudowano system przechodzenia przez poszczególne szczeble kariery, tak aby w wieku seniorskim zawodnik był w pełni ukształtowanym sportowcem. Kiedy jesteś młodym Amerykaninem i często trafiasz do kosza, wybierasz szkołę licealną, którą możesz reprezentować w zawodach. Nic wielkiego, nic odkrywczego, lecz już wtedy obserwują twoją grę uniwersytety, które polują na Ciebie. Prowadzą skauting, umożliwiający im wybieranie najlepszych zawodników. Przez to zainteresowanie twoją osobą rośnie, pojawiają się tysiące kibiców, jesteś uwzględniany w najważniejszych rankingach. Żaden Amerykanin potrafiący grać w koszykówkę nie musi martwić się o wybór uczelni, bo jeśli jest wystarczająco dobry, znajdzie ją sobie bez problemu.

Gdy oficjalnie mamy do czynienia ze studentem, sprawa zaczyna się robić coraz przyjemniejsza. Nastolatki stają się celebrytami, często wizytówkami swoich uczelni. Co roku ruszają rozgrywki, w której uniwersytety walczą o awans do etapu zwanego NCAA MARCH MADNESS. Sława i uwielbienie występujących tam drużyn stają się niebywałe. Warto wspomnieć, że w 2015 roku finałowy mecz zawodów między Wisconsin Badgers a Duke Blue Devils oglądało w USA 28 milionów widzów. Szokujące liczby sprawiają, że zawodnicy muszą mierzyć się z ogromną presją od wczesnych lat, co w przyszłości nie będzie stanowiło dla nich większego problemu. Przy tym walczą nie tylko o kontrakty z różnymi światowymi koncernami, lecz przede wszystkim o byt w zawodowej lidze, czyli NBA.

Tutaj przechodzimy do draftu, który jest możliwością wyboru najlepszych uczelnianych zawodników. Po zakończonym sezonie studenci mogą skorzystać ze zgłoszenia do tego wydarzenia. Całe przedstawienie jest transmitowane, a koszykarze z najwyższymi numerami w rankingach są oficjalnie zapraszani na tę ceremonię. Kluby z dolnego pułapu poprzedniej kampanii wybierają jako pierwsze, tak aby poziom się

wyrównywał i przy tym stale rósł. Z tego względu rozgrywki nie posiadają długotrwałego hegemonu, gdyż kolejne lata powodują często odwrócenie tabeli o 180 stopni. Przynosi to coraz większe korzyści finansowe, ponieważ zainteresowanie ligą NBA nie słabnie. Jednak przede wszystkim nie pozwala na brak utalentowanych zawodników. Gdy weterani kończą swoje przygody ze sportem, na ich miejsce wskakują młodzi gracze, którzy wnoszą świeżość i uatrakcyjnają grę.

System ten pokazuje, że cały etap zaczyna się już od juniorskich rozgrywek. Nie wygląda to tak źle jak u nas, gdzie młodzi sportowcy zazwyczaj muszą znaleźć klub, by rozwijać swoje pasję. USA stawia na sport w połączeniu z edukacją. Uczniowie mają możliwość trenowania w wybranych szkołach. Kluby monitorują rozgrywki szkolne, dając dodatkową motywację do działania. Wszyscy na tym korzystają – zawodnicy, szkoły czy też drużyny seniorskie. Pierwsi z nich otrzymują szansę spełniać marzenia, uczelnie natomiast zyskują reklamę i podziw, jednak największe korzyści ze świetnego gracza czerpie zawodowy klub.

MARIA DEPTUŁA – Zamiast

Z systemami mamy do czynienia codziennie i wszędzie. Systemy polityczne, bankowe, socjalne czy operacyjne. Dotyczą one każdego z nas. Niektóre są tak skonstruowane, że ciężko z nimi i w nich żyć, a niektóre są bezcenne.

Patrząc na sytuację w Polsce, widać braki i wady systemów. Na przykład polska edukacja. Szkoła, która powinna nauczać, często oglupia i zajmuje głowę uczniom niepotrzebnymi rzeczami. W podstawówce na przyrodzie uczyłam się przekroju liścia i igły. Dziesięć lat już posiadam tę wiedzę i jeszcze mi się nie przydała. Wątpię, żeby kiedykolwiek to nastąpiło. Jest jeszcze wiele takich smaczków i każdy je dobrze zna. A system emerytalny? Kpina. Pracować całe życie, żeby dostać głodową emeryturę. Nasze systemy, czyli ład stworzony przez nas samych, nie są idealne. Bardzo dużo im brakuje do perfekcji. A gdyby je wszystkie usunąć?

Początkowo radość i uczucie wolności. Nie ma zakazów, nakazów. Znikają długi, prawo, konsekwencje, obowiązkowa nauka. Nikt niczego nie musi. Przez chwilę wszyscy są prawie równi. Wydaje się jakby ludzie zaczynali od początku. Niestety, nie wyglądałoby to tak, że człowiek nagle nie jest przywiązany do pieniądza, brata się z innymi i zaczyna sadzić potulnie ziemniaki, żeby żyć zgodnie z naturą. W zamian zaczyna się anarchia, bieda i nieporządek. Ludzie zaczynają wariować, systemy powstawałyby na nowo. Prawdopodobnie byłyby tak samo nieudane jak teraz.

Więc zamiast słynnego „j***ć system” powinniśmy mówić „ulepszać system”. To by nam wszystkim wyszło na zdrowie.

AGNIESZKA FAFIŃSKA — Off the grid. Poza systemem

Obowiązujący system nie pozostawia miejsca na indywidualność jednostki, dlatego tak wiele osób decyduje się na życie poza nim. *Offgridowcy*, bo tak należy ich nazywać, krytycznie patrząc na otaczający ich świat, na ludzi zatracających się w materializmie, na społeczny egoizm i wszechogarniające marnotrawstwo, w pełni świadomie wybrali inną, alternatywną drogę. Są fanami homeschoolingu, freeganizmu, ekologii i obalania stereotypów. Niejednokrotnie rezygnowali z życia w wielkim mieście tylko dlatego, żeby przenieść się do swoich malutkich, ekologicznych domków. Założę się, że większość z Was nie chciałaby żyć w taki sposób nawet przez kilka dni. Wyobrażacie sobie nastolatka w drogich, markowych ubraniach, z airpodsami w uszach, wybierającego, co prawda wciąż świeże, jedzenie z kosza pod supermarketem? Popularną dziewczynę, gwiazdę Internetu, przeprowadzającą się na malutką wieś, gdzie, żeby wypić kawę z mlekiem, najpierw musiałaby wydoić krowę? Do tego zero połączenia ze światem — żadnego Instagrama, Twittera czy Facebooka? Ja też nie. Jest jednak coś, co może Was zaskoczyć — POZA KULTURĄ MASOWĄ RÓWNIEŻ ISTNIEJE ŻYCIE. I obserwując to, jak offgridowcy radzą sobie poza systemem, można stwierdzić, że to życie jest całkiem niezłe. Wiadomo, ciężiej jest zapytać przechodnia o godzinę niż zerknąć na smartfona, ciężiej jest uśmiechnąć się do kogoś w prawdziwym życiu zamiast wysłać emotikon.

Ale „off the grid” to nie tylko odcięcie się od sieci — to budowanie systemu poza systemem. Kiedy „systemowi” rodzice kłócą się i sprzecają, do jakiej szkoły posłać dziecko, „tamci” stawiają na nauczanie domowe. Kiedy kolejny materialista codziennie sprawdza stan swojego konta, jakby miało to określić jego sens bycia na Ziemi, *offgridowiec* jest w stanie żyć bez pieniędzy. Pomyślcie, jak zawiedzeni ci ludzie muszą być każdego ranka, kiedy na koncie przybywa kolejna złotówka, a ich pozycja w hierarchii świata wciąż nie jest wyższa. Poza tym, nieważne, czy ktoś żyje w normalnym społeczeństwie, czy wybrał nieco inną drogę — wszyscy są równie ważni i wartościowi. Co za ironia.

*Ważne jest więc, żeby można było dać się złapać w „sieć”,
ale jeszcze ważniejsze — by można było się z niej zerwać.*

GABRIELA ŚLIMKO — Wszystko to system

Wdech, wydech, wdech, wydech. Pani Barbarze te dwa słowa ułatwiają oddychanie. Ostatnio często ma ucisk w klatce i ciężko jej się oddycha. Najlepiej czuje się w pozycji leżącej. Jednak nie może leżeć całymi dniami, bo ma pieska Henia, który bardzo lubi spacerować. Musi też robić zakupy. Pani Barbara czuje się z dnia na dzień coraz gorzej. Nie ma gdzie szukać pomocy. Pewnej nocy budzi ją okropny ból, nie może złapać oddechu. I nie łapie go. Umiera. Dlaczego nie poszła do lekarza? Nie mogła. System służby zdrowia nie istnieje. Jaś ma 8 lat i całymi dniami gra na komputerze, ogląda kreskówki albo biega po podwórku z kolegą. Nie chodzi do szkoły, bo szkoły nie ma. Rodzice mogliby go nauczyć tabliczki mnożenia, zasad fizyki czy kilku równań chemicznych, ale nie mają na to czasu. Nie mają też cierpliwości, bo Jaś zazwyczaj szybko się nudzi nauką i przestaje słuchać. Rodzice nie uczą Jasia, szkoła nie uczy Jasia. Jan ma 28 lat i całymi dniami gra na komputerze i ogląda kreskówki. Nawet nie biega już z kolegą po podwórku. Jan nie ma pracy, bo niczego nie umie. A skąd ma umieć? Przecież nie chodził do szkoły, bo jej nie było. System edukacji nie istnieje.

Trzech mężczyzn i jedna kobieta wchodzi do małego osiedlowego sklepu. Jeden z mężczyzn przydusza kasjera i unieruchamia go. W tym czasie reszta z czwórki osób rabuje sklep. Po wszystkich wychodzą i idą do wspólnej willi, którą przywłaszczyli sobie po byłym burmistrzu miasta. Kasjer odnajduje ich i w zemście brutalnie morduje. Co na to policja i władze państwa? Nic. Jest anarchia. System państwa nie istnieje. To oczywiście tylko spekulacje. Nie wiem, jak funkcjonowałby świat bez tych i innych systemów. Może byłby kolorowy, szczęśliwy i wolny. A może byłby pełen chorób, brudu i strachu. Nie wiem. Ale gdybym miała moc sprawczą i jednym ruchem mogłabym usunąć wszystkie systemy na świecie, nie zrobiłabym tego. Bałabym się, że w przyszłości moje dzieci będą Janami, mój mąż kasjerem, a ja skończę jak pani Barbara.

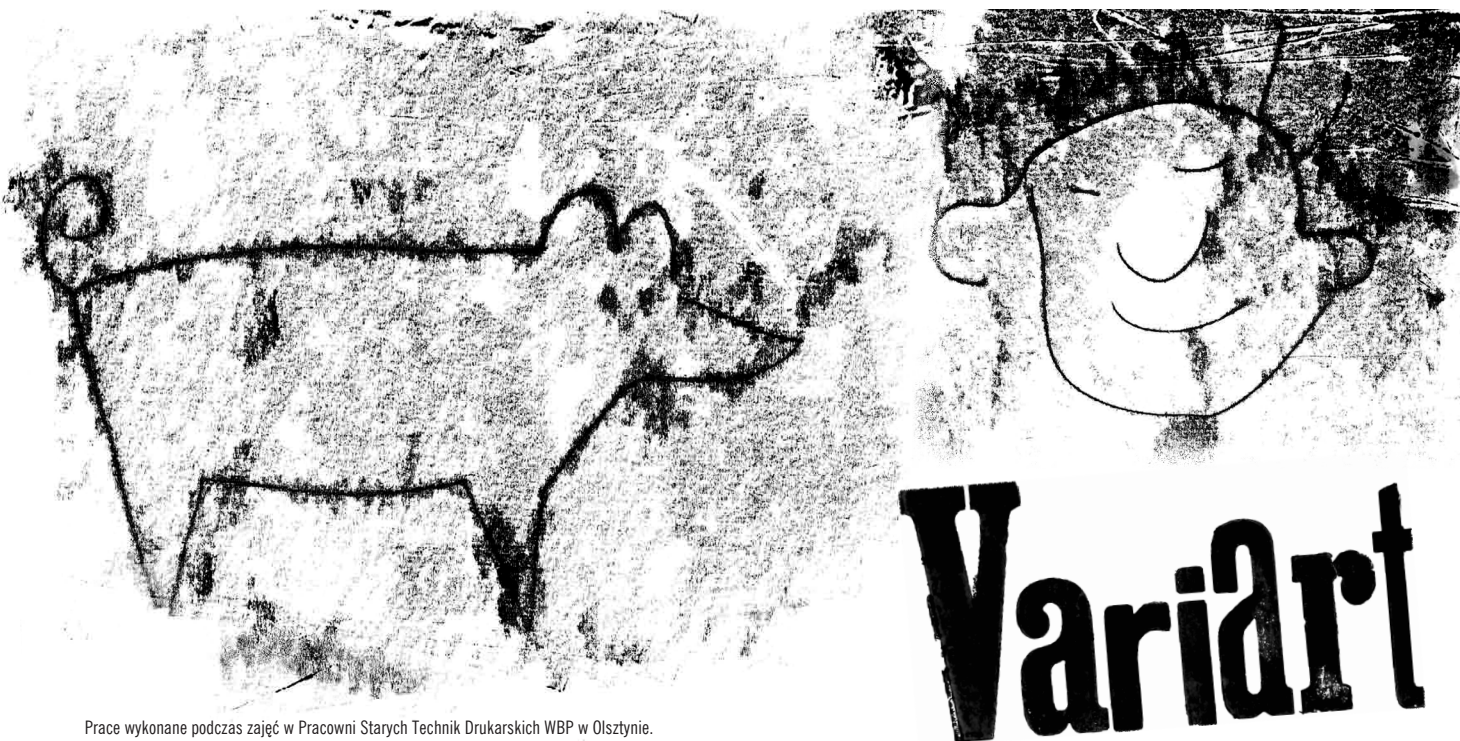


ANNA RAU

Świat bez I

Zła jestem. Naprawdę zła. Nic nie mogę sprawdzić. O której odjeżdża autobus na Olsztyn-Ogrody. Do której otwarta jest galeria (nie ta z obrazami) w sylwestra. Co powiedział polityk X do polityka Y (wiadomości dopiero za pół godziny). Jaki cytat i z której książki Harukiego Murakamiego pasuje na motto mojej pracy. Który z filmów o śmiesznych sowach jest dziś najpopularniejszy. I czy ja w ogóle kiedykolwiek jeszcze zobaczę jakiś film o śmiesznych sowach... Ile dni jeszcze mogę trzymać książkę z biblioteki. I czy mają tę najnowszą powieść, co ją widziałam w księgarni. A jeśli nie mają, to która biblioteka ma. Albo jak jest po łacinie myszółów włochaty. I co – trzeba będzie znowu słowniki kupować, może nawet gazety?! Od której przyjmuje jutro mój dentysta (już jest za późno, żeby dzwonić). Na wszystko jest za późno. I czy kurkuma pasuje do kurek. A jak ja w ogóle mam przyrzadzić te kurki?! I trzeba będzie kupować książki kucharskie. A propos jedzenia – co mam kupić kotu zamiast kociej trawy. Oczywiście na Dzień Czarnego Kota. Tylko kiedy jest Dzień Czarnego Kota. Hmm... a Dzień Kundelka? Ciekawe, czy jest Dzień Pingwina. Czy w sklepie z kieckami mają mój rozmiar w tym kolorze, co go chcę. Ale jak tu teraz kupować – tylko w galeriach. Bez sensu tracić czas bez herbaty i muzyki w tle. A swoją drogą, co ja piję... Ta herbata to na pewno eco

i bio, tak jak w sklepie obiecywali?... No tak, pudełko wywaliłam i nawet składu nie sprawdzę. Mhmm mhhmmm, jakie jeszcze filmy nakręcił ten reżyser, którego coś tam teraz oglądam. O, a w czym jeszcze grał ten aktor? Ciekawe, jakie ma notowania. I czy są jakieś recenzje? Co też grają w kinie... A w weekend? Jaka też może być pogoda. Może gdzieś wyjedziemy, ale jak by tu znaleźć noclegi? I porównać ceny? To może pojedziemy do Julków. Ale czy ja mam do nich jakiś telefon? Ech, zawsze byli na grupie. Do ciotki można by zajrzeć, ale teraz te połączenia... Ha, i zero powiadomień o najbliższych imprezach miejskich. Z opłatami trzeba będzie na pocztę... Do telefonii. Do banku. Do urzędu... Do... O, roślina mi choruje... Ale jak ją pielęgnować? Coś tam było, że można zrobić nawóz ze skorupki jajek, czy że niby fusy herbaty... A propos, jaka herbata będzie lepsza, żeby zasnąć – zielona czy biała... Ciekawe, czy kawa bezkofeinowa to naprawdę kawa. Co oni w tym radiu puszcza, rany. Gdybym się nie pozbyła części płyty, to bym czegoś posłuchała, a tak muszę słuchać, co leci. Nawet nie wiem, co to. Właśnie! Nic nie wiem. Dlaczego?!... Co za los. Trzeba będzie kupić encyklopedię. To naprawdę koniec. Nie ma Internetu.



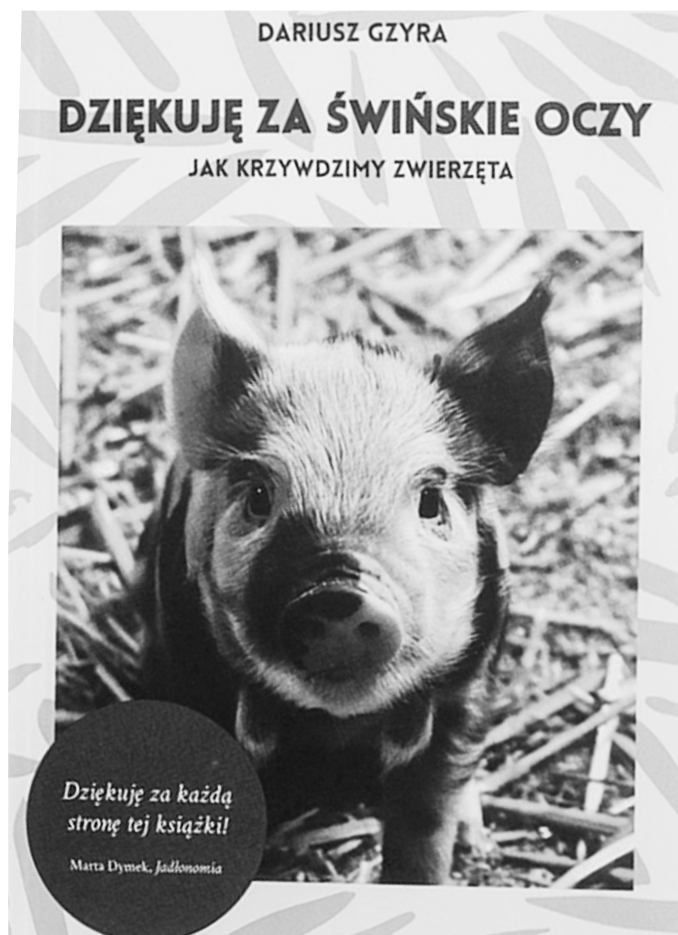
KATARZYNA GUZEWICZ System krzywdy

W Chinach w miejscowości Yulin każdego lata odbywa się festiwal psiego mięsa. Chętnie bym sprawdziła dla statystyk, ile psów jest tam zabijanych każdego roku, ale tego nie zrobię, bo boję się, że wśród rekordów z danymi wyskoczą mi zdjęcia. Okropne zdjęcia, bo innych nie ma z tej „imprezy”. Kiedyś już popełniłam ten błąd i je obejrzałam. Długo miałam te obrazy przed oczami, właściwie każdego wieczoru przed zaśnięciem. Na uczestników tego wydarzenia ciskane są gromy ze świata Zachodu. Organizowane są protesty, marsze milczenia, a wszystko po to, by zakazać tych barbarzyńskich praktyk. Dzikusy, ludzie okrutnej kultury – to tylko bardziej delikatne określenia, które wtedy padają. Zgadzam się, łatwiej się oburzać, gdy ofiara jest z tego samego gatunku, którego przedstawicieli kochamy i mamy w domu – w tym wypadku mowa o psach.

Encyklopedia Pedagogiczna mówi, że specyficzną właściwością systemu społecznego jest istniejący w nim układ wartości (...) [na którym] opiera się: ideologia systemu sankcjonująca jego hierarchię, istniejące w nim zwyczaje i obyczaje; sposoby myślenia, postawy zachowania poszczególnych jego elementów (...). Na nim opiera się też morale systemu, tzn. obowiązujące w nim wzory etyczne, czy nawet estetyczne, bez których żaden system społeczny nie może istnieć. Tyle gładko brzmiącej teorii. Łatwo też się oburzyć, gdy zwierzę, któremu dzieje się krzywda, jest egzotyczne i piękne. W 2014 roku zabicie żyrafy Mariusa przez pracowników kopenhaskiego zoo poruszyło wiele osób. Tak samo było z zastrzeleniem lwa Cecila – symbolu parku narodowego w Zimbabwie, którego zabił z kuszy amerykański dentysta. Tak samo wszelkie festiwale, w których krew tryska na wszystkie strony, a martwe zwierzęta leżą na ulicach, bo wyznawcy wierzą w to, że krwawe ofiary są miłe czczonemu przez nich bóstwu. To też nam się nie podoba. Jesteśmy przyzwyczajeni do śmierci odległej, sterylnej, takiej, która nie pogorszy samopoczucia i nie popsuje smaku kotleta. A już na pewno nie chcemy oglądać zwłok zwierząt leżących na ulicach. I nie chcemy też, żeby takie widoki oglądały dzieci. Ale tak naprawdę nie dlatego, że są tak wyjątkowo chronione, a bardziej, według mnie, dlatego, że zaczną zadawać niewygodne pytania.

Przekonanie, że produkty sprzedawane w sklepach to coś etycznie obojętnego, jest w dosłownym sensie bardzo cenne. Automatyzm i bezrefleksyjność konsumentów są wiele warte. Nie znajdziemy na nich [etykietach] żadnej sugestii, że mogła stać się krzywda [zwierzęciu], które ostatecznie wylądowało na sklepowej półce, w lodówce lub na wieszaku. Cytat, podobnie jak informacje o żyrafie i lwie, pochodzi z książki *Dziękuję za świńskie oczy* Dariusza Gzyry, którą można wypożyczyć w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie. Nie jest to książka, którą miło się czyta. Mnie poruszyła, chociaż jem tylko rośliny, nie noszę skór, nie płacę za wykorzystywanie zwierząt, wpłacam

pieniądze na różne fundacje prozwierzęce itd. A może właśnie dlatego? Bo czasem nie mogę się oprzeć wrażeniu, że takie działania to tylko kropla w morzu przemocy wobec innych zwierząt (innych niż ludzie). Żyjemy w systemie, którego częścią składową jest przemoc wobec nich. Dla skór, jajek, mleka, mięsa. Okrutny przemysł, któremu świat przyklaskuje i do którego dopłaca, wprawiając konsumentów w poczucie, że a) tak było zawsze, b) w sumie nic złego się nie dzieje, c) bardzo tego potrzebujemy. Punkt pierwszy to żaden argument, a dwa ostatnie to zwykłe kłamstwa. *Kiedy myślę o zaangażowaniu w obronę zwierząt, myślę o trosce o miliardy krzywdzonych – teraz i w przyszłości* – pisze Gzyra. Myślę, że to dobre słowa na zakończenie.





GOLDEN CALF/2019, (złoty cielec), Katarzyna Tyszkowska